

Naszych czytelników zapoznaliśmy już w obszernej publikacji z zamierzeniami Zakładowego Domu Kultury Huty Stalowa Wola w ogólnopolskim współzawodnictwie placówek kulturalno-oświatowych, zorganizowanym w ramach obchodów 25 rocznicy powstania PRL pod hasłem „Każdego dnia służymy ludowej Ojczyźnie”.

Wartością najistotniejszą współzawodnictwa jest sam program obchodów srebrnego jubileuszu Polski i ludowej

mowych — mówi kierownik ZDK Adolf Bukowy — jest wzajemne treści ideowo-wychowawczych ze szczególnym naciskiem na wyrobienie właściwej postawy czynnego zaangażowania wśród młodzieży tak pracującej, jak i szkolnej. Celem tego służby będzie m. in. zakrojona na szeroką skalę akcja odczytowa w oparciu o lektorów Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyslicieli oraz TWP. Tematem prelekcji będą zagadnienia historii Polski, Kościoła

DOM KULTURY GÓRNIKA-NAFTOWCA W KROŚNIE

W zakresie upowszechniania kultury i oświaty oraz rozwoju amatorskiego ruchu artystycznego w roku srebrnego jubileuszu PRL krośnieński DK ma ciekawą propozycję.

— W naszej działalności — mówi kierownik Domu Kultury Górnika-Naftowca Wiktor Łacki — skoncentrujemy się na opracowaniu form i metod sa-

Najmniejsze państwo świata i jego codzienne sprawy

Jest takie miniaturowe, najmniejsze na świecie państwo, które można przejść pieszo, wzdłuż i szerz w ciągu pół godziny. Terytorium tego państwa obejmuje zaledwie 0,44 km kw., liczba obywateli wynosi około pięciuset osób, a statych mieszkańców tylko siedemset. Jakaż więc rolę może odgrywać w polityce międzynarodowej to małe państwo? Biorąc pod uwagę przytoczone liczby można by sądzić, iż minimalna. Okazuje się jednak, że mimo skromniutkiego potencjału terytorialnego i „ludnościowego” państwo to wywiera pewien wpływ na bieg wydarzeń światowych, do tego stopnia, że liczą się z nim nawet mocarstwa.

Tym dziwnym państwem jest... Watykan, zaś jego władca — jak najbardziej państwowym — jest papież. Funkcje państwowe absorbują papieża w nie mniejszym stopniu, niż czynności związane ze sprawowaniem zwierzchnictwa nad całym Kościołem rzymskokatolickim. Watykan utrzymuje stosunki dyplomatyczne z kilkudziesięcioma państwami, w których akredytowani są nuncjusze apostolscy traktowani na równi z ambasadorami. Ponadto utrzymuje delegaturę przy ONZ w Nowym Jorku, przedstawicielstwo przy Europejskiej Wspólno-

ści Gospodarczej w Brukseli oraz uczestniczy — podobnie jak inne państwa — w działalności szeregu organizacji międzynarodowych. A skąd Watykan czerpie fundusze na pokrycie kosztów tak rozległej działalności dyplomatycznej na forum światowym? Otóż, to małe państwo jest jednym z najbogatszych. Ocenia się, że wartość samych tylko akcji i papierów wartościowych posiadanych przez Watykan sięga sumy ponad pięć i pół miliarda dolarów. Duża część tej kwoty ulokowana jest we Włoszech. O wysokości aktywów watykańskich świadczyć może to, że są one równe wszystkim rezerwom złota i dewiz Francji, zaś rząd brytyjski dysponuje — w porównaniu do zasobów Watykanu — zaledwie jedną piątą dolarowych papierów wartościowych.

Już tylko z racji posiadanych bogactw (zbieranych w ciągu wieków i wciąż pomnażanych przy zastosowaniu sposobów nie zawsze szlachetnych) Watykan liczy się w świecie i jest partnerem dla wielkich państw. Ale nie tylko o to chodzi. Wpływ Watykanu w skali światowej mierzy się zasięgiem jego religijnych oddziaływań. Chrześcijań na świecie jest około 900 milionów, z czego mniej więcej połowa przypada na wyznawców Kościoła rzymskokatolickiego. Na swych wyznawców papieństwo oddziałuje poprzez 400-tysięczną armię księży, obowiązanych do postuszeństwa i wykonywania dyrektyw religijnych i nie tylko religijnych (jak to często bywało). Każdy duchowny rzymskokatolicki, praktycznie rzecz biorąc, posiada jak gdyby podwójne obywatelstwo: jest obywatelem swojego kraju ojczystego i jednocześnie jest podporządkowany państwowej władzy Watykanu. Było to źródłem niezliczonych konfliktów między państwami a Kościołem rzymskim, zwłaszcza w sytuacjach, kiedy interesy Watykanu były sprzeczne z interesami poszczególnych państw. Historia Polski dostarcza nam w tym względzie jakże wielu znamienitych przykładów. Szczególnie duże są wpływy Watykanu w tych państwach, w których na czele rządów stoją partie chadeckie.

W każdym razie Watykan jest centrum nie tylko religijnokościelnym, ale i politycznym, gospodarczym i finansowym rozciągającym swe wpływy w różnych krajach w mniejszym lub większym stopniu. Religia rzymskokatolicka przeżywa obecnie — jak wiadomo — ostry kryzys w związku z powszechnie występującymi procesami dechrystianizacji. Rzutuje to na pewno na zmniejszenie wpływów Watykanu w świecie, lecz pamiętajmy, że świeckie dziedziny działalności papieństwa pozostają rozległe.

Watykan, aby było jeszcze dziwniej, jest nie tylko suwerennym państwem, ale jest rów-

Julian Wozniak

„Każdego dnia służymy LUDOWEJ OJCZYZNIE”

Chcemy żeby wypadł jak najokazalej! Toteż ciekawsze pomysły nie powinny być monopolizowane, a ich autorzy nie będą chyba mieć pretensji do tych, którzy dla dobra swego środowiska z pomysłów tych skorzystają. Zasadniczym zaś kryterium wspomnianego współzawodnictwa będzie poziom organizowanych imprez ich masowość. Toteż w dzisiejszej publikacji, w skrótownym oczywiście ujęciu pragniemy omówić zamierzenia trzech innych zakładowych domów kultury działających na terenie województwa rzeszowskiego.

ZAKŁADOWY DOM KULTURY W NOWEJ SARZYNIE

— Naczelną zasadą w dziedzinie naszych założeń progra-

l i wierzeń religijnych, aktualne zagadnienia polityczne i gospodarcze kraju i świata z szerokim uwzględnieniem tematyki dorobku ziemi rzeszowskiej i perspektyw jej dalszego rozwoju. Upowszechniane będą treści wynikające z Uchwały V Zjazdu PZPR. Akcja odczytowa będzie połączona z dyskusjami, projekcjami filmów i konkursami zgaduj-zgaduli o szerokim wachlarzu tematycznym.

Zespoły artystyczne ZDK Zakładów Chemicznych w Sarzynie przygotowują imprezy okolicznościowe związane z obchodzonymi rocznicami państwowymi, jednak na uwagę zastępuje tu szczególnie wspomnianą wyżej akcja odczytowa.

moksztalcenia oświatowego — wynikających z Uchwały V Zjazdu i XIII Wojewódzkiej Konferencji Partyjnej, a także wytycznych CRZZ, dotyczących obchodzonych w br. rocznic.

Naczelnym więc zadaniem jest praca wychowawcza nad podniesieniem poziomu kulturalnego i ideowego członków wszystkich zespołów i kółek zainteresowań oraz organizowanie prelekcji społeczno-wychowawczych. Dążyć się tu będzie do upowszechnienia bazy kulturalno-oświatowej przez współdziałanie placówki ze środowiskami twórczymi, pisarzami, artystami i naukowcami.

Krośnieński Dom Kultury, wspólnie z Technikum GN i Za-

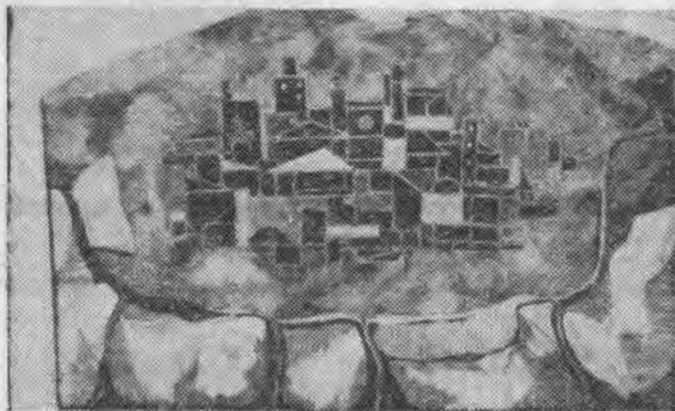
(Ciąg dalszy na str. 2)



Fot. M. KOPEC

(Ciąg dalszy na str. 2)

Najlepsza grafika miesiąca



Roman ŁYŻKA — „BIESZCZADY” — linoryt.

26 lutego br. w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki „Ruch” w Rzeszowie nastąpiło uroczyste wręczenie nagród w stałym konkursie na „Najlepszą grafikę i rysunek miesiąca”. W dziale grafiki I nagrodę przyznano ROMANOWI ŁYŻCE za pracę pt. „Bieszczady” (linoryt). W dziale rysunku przyznano dwa równorzędne wyróżnienia MARIJ SITEN za pracę pt. „Meta-morfozy” i STANISŁAWOWI KUCI za pracę pt. „Na front”.

Równocześnie organizatorzy przypominają, że prace nie nagrodzone w ubiegłych miesiącach są do odebrania w sekretariacie ZPAP w Rzeszowie, ul. 1 Maja 18.

„Każdego dnia służymy LUDOWEJ OJCZYZNIE”

(Ciąg dalszy ze str. 1)

sadniczą Szkołą Naftową, przystępując do organizacji Międzyszkolnego Zespołu Pieśni i Tańca, co będzie trwałym efektem obchodzonych w br. uroczystości jubileuszowych. Niezależnie od tego wszystkie zespoły przygotowują okolicznościowe programy, z którymi występować będą nie tylko przed załogami przedsiębiorstw naftowych, ale przed odbiorcami całej ziemi rzeszowskiej.

Wymienić tu należy przygotowywany przez zespół wokalo-muzyczny program „Melodie gitar na Podkarpaciu”, połączony z konkursem zgaduj-zgadula na temat 25-lecia PRL oraz program orkiestry smyczkowej z utworami o tematyce partyzanckiej, żołnierskiej i folklorystycznej.

ZAKŁADOWY DOM KULTURY WSK MIELEC

Ogólnopolskie współzawodnictwo placówek k. o. „Każdego dnia służymy ludowej Ojczyźnie” punktowane jest w różnych kategoriach. Placówka mielecka oceniona będzie przez komisję krajową, gdyż obok ZDK Huty „Stalowa Wola” i WDK zaliczona została do kategorii I i obecnie współzawodniczy z najlepszymi placówkami w kraju, WDK-ami i Młodzieżowymi Pałacami Kultury w Warszawie, Katowicach, Łodzi i Poznaniu. Aby więc wypaść „z honorem” nie wystarczy „normalny” program działania. Tu już potrzebne są nowe pomysły, ciekawe, niewyświechtane inicjatywy, masowe, atrakcyjne imprezy. I już na wstępie należy stwierdzić — ZDK WSK Mielec nie pozostaje bez szans na zajęcie wysokiego punktowanego miejsca. Kierownictwo mieleckiego Domu Kultury srebrny jubileusz Polski Ludowej postanowiło uczcić rzeczywiście w sposób wielce atrakcyjny.

— Dużo uwagi przykładamy do imprezy zwanej „Karnawałem młodości” — mówi kierownik artystyczny ZDK mgr Irena Nowakowska. — Do udziału w różnorodnych imprezach chcemy wciągnąć młodzież doświadczonego miasta i okolicy. M. in. na placu Centralnym, przed naszym ZDK, zapłonę harcerskie ognisko. Młodzież wszystkich szczebli ZHP zło-

ży meldunki o realizacji zobowiązań podjętych dla uczczenia 100 rocznicy urodzin Włodzimierza Lenina. Następnie wyświetlone zostaną fragmenty filmów o Leninie, połączone z recytacjami wierszy o przywódcy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Oczywiście występować będą zespoły artystyczne, a na zakończenie tej masowej imprezy mieleccy harcerze wypuszczą około 100 balonów meteorologicznych z pozdrowieniami dla młodzieży innych regionów kraju i zagranicy. Z doświadczenia wiemy, że baloniki te szybują bardzo wysoko i daleko, i z pewnością nie jeden z nich wylądował na ziemi naszego wschodniego sąsiada, niósąc pozdrowienia z Mielca.

Rzecz jasna, kierownictwo ZDK Mielec wprowadza szeroką akcję oświatową - wychowawczą, zapewniając bogatą tematykę, dobrych prelegentów i atrakcyjną formę organizacyjną, stosując popularną zasadę „bawimy się ucząc — uczymy się bawiąc”. To temat oddzielnej publikacji. Dlatego też ograniczyć się do ukazania niektórych tylko inicjatyw, które nie znalazły się w programach działania innych placówek.

„Żołnierzu, któryś walczył o naszą wolność” — pod takim hasłem mielecki ZDK, oczywiście wspólnie z organizacjami młodzieżowymi i społecznymi, zorganizuje kolejną masową imprezę w Dniu Zwycięstwa. Tematyka zawarta w tytule. Cel — pogłębienie wśród młodzieży uczuć patriotycznych, poznanie historii ludowego Wojska Polskiego. Kontynuacją tej imprezy będzie tzw. „Dzień otwartych drzwi”, w którym młodzi chłopcy i dziewczęta odwiedzają mieszkających w Mielcu uczestników walk rewolucyjnych i partyzanckich, kombatanów I i II wojny światowej, by wręczyć im kwiaty, poznać ich osobiście, usłyszeć od nich samych historyczną prawdę.

Tych „dni” będzie zresztą więcej; dzień teatru, poezji, muzyki, pieśni, tańca, sportu, gimnastyki... Program bogaty i urozmaicony. Trwałym śladem „Karnawału młodości” będzie powołane do życia młodzieżowe koło Miłośników Ziemi Mieleckiej.

Ale nie tylko młodzież. W programie obchodów 25 rocznicy powstania PRL Zakładowy Dom Kultury WSK Mielec zorganizuje kilka konkursów: oświatowy — „Ojczyzna naszych dni”, czytelnicy — „Literatura walki — literatura pracy” — recytatorski — „Nasz czas nasza rzecz” oraz konkurs na upowszechnienie kultury i sztuki.

Zespół teatralny ZDK wystąpi z premierami dwóch polskich sztuk zaangażowanych: „Odwet” — Leona Kruczkowskiego i „Notes” Zdzisława Skowrońskiego, a zespół estradowy przygotowuje program pt. „Wieczór pieśni żołnierskich”. Dalej — w ZDK w Mielcu odbędą się sympozja naukowe: „Rozwój nauk technicznych w 25-leciu PRL” oraz „Kinematografia polska”. Tu wreszcie odbędzie się II Rzeszowski Jarmark Pieśni i Tańca.

Oto niektóre tylko punkty bogatego programu obchodów srebrnego jubileuszu naszej ludowej Ojczyzny, z jakim do współzawodnictwa „Każdego dnia służymy ludowej Ojczyźnie” przystępuje Zakładowy Dom Kultury WSK Mielec.

Julian Woźniak

MARZEC W DKF

Dla miłośników X Muzy Dyskusyjny Klub Filmowy „Klapy” przy Wojewódzkim Domu Kultury w Rzeszowie przygotowali sześć interesujących projekcji. Jako pierwszy — w dniu 1 III — zostanie wyświetlony słynny film „Hiroshima, moja miłość”, wyreżyserowany przez jednego z najwybitniejszych przedstawicieli francuskiej „nowej fali” — Alaina Resnaisa. Oto jedna z charakterystycznych scen filmu. Bohaterka mówi: „Byłam cztery razy w muzeum. Byłam w szpitalu”. W tym czasie przez ekran przepływa panorama architektury nowoczesnego miasta, lśniące sale pomieszczeń szpitalnych, w których dotychczas umierają ludzie zarażeni radioaktywnością. „Widziałam filmy dokumentalne” — kontynuuje bohaterka, a ekran wypełnia się ustami otwartymi do krzyku, rannymi, zgłiszczami. Jej rozmówca, Japończyk, odpowiada: „Nie widziałam Hiroshimy”. Alain Resnais szuka odpowiedzi na pytanie, jaki jest związek pomiędzy kataklizmem dotykającym całe miasto a dramatem jednostki, przeżywanym przed laty pod inną szerokością geograficzną; pomiędzy rzeczywistością a sferą uczuć.

Kolejny film (projekcja 6 III), to znakomita parodia komiksów z nieśmiertelnym Supermanem i sex-bombą. Przygody bohaterów tasiecowego komiksu przeplatają się z perypetiami zwyczajnych „zjadaczy chleba”, co stwarza możliwości stosowania nie ograniczonych dotąd sytuacji komediowych. Film nosi tytuł „Kto chce zabić Jessi?”. Wyreżyserował go Vaclav Vorlicek, w roli głównej występuje najatrakcyjniejsza czechosłowacka gwiazda — Olga Schoberowa, a postać sentymentalnego Supermana kreuje znany w Bratysławie architekt — Juraj Visny.

Na dzień 13 III przewidziano projekcję filmu — niespodzianki w reżyserii jednego z prekursorów „nowej fali”. Będzie to dramat psychologiczny. A oto kolejne filmy:

20 III — „Start” (belg.) — pierwszy film Jerzego Skolimowskiego zrealizowany poza granicami kraju. Bohater tej psychologicznej komedii, młody praktykant fryzjerski, marzy o zdobyciu laurów kierowcy samochodów wysłanym. O swoim filmie Skolimowski powiedział m. in.: „Będą mieli (widzowie belgijscy) coś w rodzaju dokumentu; jak widzi ich problemy i ich sposób życia ktoś, kto przybył z tego dżitowego, „dalekiego Wschodu”, który istnieje gdzieś, nie

bardzo wiadomo gdzie, ale przecież istnieje...”. Muzykę do filmu skomponował Krzysztof Komeda-Trzeciński.

22 III — „Życie O'Haru” (jap. — pula specjalna) — dramat społeczno-obyczajowy w reż. Kenji Mizoguchi'ego Ta przejmująca opowieść przedstawia 25 lat życia kobiety, życia pełnego rozczarowań i upodlenia, niespełnionych nadziei i rezygnacji. Akcja rozgrywa się w drugiej połowie XVII wieku. Mizoguchi występuje przeciwko obyczajom, panującym zarówno w feudalnym pałacu, jak i w dzielnicach rozrywkowej w Kyoto. Kreśli historię O'Haru w sposób bardzo charakterystyczny dla swego stylu, umieszcza dramat osobisty kobiety w tło konkretnej epoki historycznej, zrekonstruowanej z drobiazgową ścisłością. Jest to jedno z najbardziej wstrząsających dzieł japońskiego kina lat pięćdziesiątych. Postać tytułową kreuje Kinuyo

Tanaka, w roli młodego samuraja Katsunosuke wystąpił Toshiro Mifune.

27 III — „Medium” (USA — pula specjalna) — przeniesiona na ekran opera tragiczna, utrzymana w konwencji niemieckiego ekspresjonizmu filmowego i przepełniona duchem caligarycznym. W świecie pełnym gnomów, halucynacji, hysterii i sił nadprzyrodzonych rozgrywa się historia dziwnej miłości. Karą za nadużywanie przez czarownicę mocy „tamtej strony” jest nie tyle śmierć, co niepewność. Film został wyreżyserowany (w oparciu o własną operę) przez Gian-Carlo Menottiego.

Dodatkową atrakcją dla miłośników sztuki filmowej będzie wieczorek 8-Marcowy (organizowany wspólnie z CWF), połączony z konkursem na znajomość „kobiecej” komedii filmowej.

(jr)

Maria Walewska we francuskiej TV

Przypadającą w br. dwusetną rocznicę urodzin Napoleona uczył francuskie radio i telewizja 40 różnymi programami związanymi z życiem i dziełem „Małego kaprala”. Cykl ten zainaugurowała niedawno projekcja filmu „Maria Walewska”, według norweskiego pisarza Johana Bojera w realizacji Henri Spade'a w adaptacji Eve Francis i z udziałem utalentowanych aktorów Roger Coggio i Daniele Volle.

Przypomnieć tu warto, że prowadzone w Polsce poszukiwania prochów Marii Walewskiej oraz związana z tym polemika w naszej prasie były szeroko relacjonowane na Zachodzie, zwłaszcza we Francji i Włoszech.

Najmniejsze państwo świata

(Ciąg dalszy ze str. 1)

niez miastem w mieście, otocznym wszędzie rozgwarem łocznego Rzymu. Burmistrzem Watykanu jest... papież. Oto jeszcze jeden jego tytuł, zresztą, rzadko używany.

Za murami Watykanu życie toczy się ospale jak w małym miasteczku. Ruch tutaj niewielki, bo dużo centralnych instytucji kościelnych zatrudniających tysiące pracowników rozrzuconych po całym Rzymie. Ktoś, kto po raz pierwszy przejdzie z centrum Rzymu za mury watykańskie może odnieść wrażenie, że znalazł się w miasteczku filmowym, w którym przygotowano dekoracje i stroje z odległej epoki: charakterystyczne starożytne budowle i odziani w renesansowe mundury strażnicy uzbrojeni w halabardy. Z tym widokiem kontrastują zainstalowane w Watykanie urządzenia supernowoczesne. Jest tam lądowisko dla helikopterów, studium radiowe i telewizyjne, sieć dalekopisów, elektronowe maszyny do liczenia (a jest co liczyć).

Interesujące, jak zorganizowana jest praca papieża, który pełni rozliczne funkcje: zwierzchnika Kościoła, głowy państwa, biskupa diecezji rzymskiej, szefa ołbrzymiego przedsiębiorstwa finansowo - gospodarczego i burmistrza. Przypaść trzeba, że rozkład zwykłego dnia Pawła VI jest ułożony precyzyjnie. Papież wstaje o godz. 6.30, od 7.13 do 7.40 celebrowa mszę w swojej prywatnej kaplicy, następnie uczestniczy w mszy odprawianej przez jednego ze swoich prałatów — sekretarzy, o 8.40 — śniadanie, podczas którego papież do konanie wstępnego przeglądu prasy o różnych odcieniach politycznych. Po śniadaniu papież koryguje plan zajęć na dzień bieżący, po czym udaje się do swego gabinetu, gdzie urządzuje do godz. 13.30. W tym czasie udziela też audiencji. Osobą przyjmowaną codziennie przez Pawła VI jest sekretarz stanu państwa watykańskiego referujący najważniejsze sprawy politycznej działalności Watykanu. O godz. 13.30 papież zasiada do stołu i zjada obiad wraz ze swymi dwoma sekretarzami. Usługują

zakonnice. Potrawy włoskie oraz wina Barbaresco, Barbera i Barolo. Po obiedzie Paweł VI wysłuchuje informacji o najnowszych wydarzeniach, a następnie udaje się na półtoragodzinny odpoczynek.

Drugą część dnia roboczego zaczyna papież o godz. 16.00 i pracuje za biurkiem bez przerwy do godz. 20.30. Następnie kolejno kolacja, w otoczeniu zaproszonych gości, dziennik telewizyjny, modlitwa z różańcem, muzyka poważna nagrana na stereofonicznym adapterze. O 21.30 papież wraca do biura, gdzie pozostaje do godziny pierwszej w nocy. W późnych godzinach Paweł VI samodzielnie układa teksty na elektrycznej maszynie do pisania.

Biuro Pawła VI przypomina gabinet naczelnego dyrektora: jasne nowoczesne meble, regały, stalowe szafy z aktami, telefony, dyktafony, maszyny do pisania, stereoadapter, telewizor, radio, woda mineralna, popielniczki i papierosy. (emes)

Ryszard Bilski

Afrykański rejs (IV)

Trochę wiosny z Hiszpanii...



... 80-tysięczna Pontevedra utrzymuje się z turystyki. Oto jeden z zabytkowych placyków w pobliżu muzeum. (Zdjęcie autora)

Znów pełni obaw, bo bez wiz w paszportach i akurat w okresie kiedy w całej Hiszpanii ogłoszono stan wyjątkowy czekaliśmy na zjawienie się policji, celników i naszego opiekuna pana Pezera Torresa, który w małym hiszpańskim porcie Marin reprezentuje interesy armatora — Polskiej Żeglugi Morskiej.

Ale i tym razem udało się (poprzednio bez wiz zwiadaliśmy Rouen). Uzbrowieni w różowe imienne przepustki — sprawdzano je nam zaraz po zejściu z traju — wyruszamy na mały spacer do odległej o jakieś 7—8 km od Marin, uroczej i zabytkowej Pontevedry. Skwapliwie korzystamy z uprzejmości agenta — P. Torresa i wsiadamy do eleganckiego wosko-hiszpańskiego „FIATA”.

Rolę tłumacza, jak zwykle, powierzamy kapitanowi Lubańskiemu, który w każdym języku jest na tyle mocny, że nie da się sprzedać, a kupić tanio potrafi. Dziś jednak ma zadanie dość trudne. Pytaniami atakuję go nie tylko ja, lecz również i ciekawski, wszędobylski inżynier Franszyn.

80-tysięczna Pontevedra utrzymuje się z turystyki, rybołówstwa i przetworstwa (wytwórnie konserw). Jednym z największych zakładów jest fabryka płyt wiórowych, właśnie zabieramy „Rzeszowem” do Afryki kilkaset ton tego towaru.

Czasu niewiele, wieczorem odpływamy, agent też się śpieszy. A więc metodą skróconą „zaliczamy” muzeum. Z zewnątrz niezbyt okazałe, taka czynszowa kamieniczka, urzekło nas swym bogactwem... wykopaliska, zabytki sakralne, wspaniałe obrazy olejne, stare rękopisy, biżuteria. W gablocie, której zawartość można podziwiać tylko przez mocne, żelazne kraty — złote dzbany, talerze...

Nas (od dwóch tygodni) interesuje najbardziej morze i sprawy morzu bliskie. Schodzimy więc do piwnicy, która jest niczym innym jak autentycznym wnętrzem kapitańskiego gabinetu na żaglowcu. Odnosi się wrażenie, jakby sławny żeglarz Mendez Nunez dopiero co przed chwilą był tu i pracował na rozłożonych na olbrzymim stole mapach. Mimo woli nasuwają się refleksje, porównujemy urządzenia nawigacyjne, którymi posługują się marynarze dzisiaj, z tymi sprzed niespełna 100 lat. To nie tak dawno przecież, a postępy, jaki dokonał się w tej dziedzinie jest olbrzymi. Radio, radar są dzisiaj prawie na każdym statku.

Rozumiemy niecierpliwie spojrzenia naszego opiekuna i zwiększamy tempo zwiedzania. Przy wyjściu z muzeum kupujemy śliczne, kolorowe widokówki. Są

dużo tańsze niż we Francji, a wcale nie gorzej wykonane. Za jednego dolara — a to jeszcze zależy, w którym sklepie — można sobie zafundować od 15 do 23 pocztówek. Pozdrowienia piszemy w supereleganckim salonie, Parador Nacional, popijając małą czarną, oczywiście po hiszpańsku; do mocnej, bardzo mocnej kawowej esencji (1/4 części filiżanki) dolewa się do pełna mleka. Najlepszy to napój nie jest, obojętnie wolę kawę po szwajcarsku.

Inżynier - wędrowniczek — gdzieś się nam zapodział. Nie zginie — pocieszamy się... jest z naręczem folderów, bardzo kolorowych, wyglądają jak kwiaty. Dla każdego po kilka kompletów, jak gratis to nie ma co oszczędzać! Reklamówki są tak przejrzyste zredagowane, że chociaż nie znam języka hiszpańskiego, nie potrzebuję już pomocy kapitana, z łatwością odczytuję, a raczej odgaduję: Co? Gdzie? Kiedy? I za ile? Oto np. za jedynie 70 peset (1 dolar) można do stać całkiem niezły pokój w hotelu.

Pontevedra i okolice są daleko, licznie odwiedzane przez mniej zamożnych turystów. Ceny niższe, a zakątki wcale nie mniej urocze niż w innych rejonach kraju. Do Marin i Pontevedry przyjeżdża wielu turystów z Francji i Niemiec. Jak nas zapewniał p. Torres, ściga tu także całkowita swoboda, mogą rozbić campingi, dosłownie wszędzie, gdzie tylko dusza zapagnie, nie znajdzie się nikt, kto by powiedział, że tu nie można...

Dobre bezpośrednie połączenie ze stolicą kraju (około 600 km) kolejowe (12 godzin), autobusowe (9 godzin) oraz lotnicze (lotnisko znajduje się w odległym o około 55 km Santiago) też nie są bez znaczenia. Nadmorski rejon turystyczny - wypoczynkowy Pontevedra — Marin ściągają także wielu amatorów rybołówstwa. Wspomniane okolice należą do najbardziej zarybionych w Hiszpanii.

Wracamy na statek. W pośpiechu zjadamy pozostawiony w parniku obiad i szybko na dwie godzinki do Marin. Szukając suwenirów znalazłem się — ścignęła mnie tam polska mowa — w bardzo długim korytarzu, przypominającym piwnicę. Obok wmurowanych w ścianę beczek po winie, przy niskich stolikach ucztowała cała niemalże załoga „Rzeszowa”. „Przycumowałem” do I mechanika i zaczęliśmy się wspólnie rozkoszować czerwonym, wytrawnym winem za 18 peset... cała litrowa butelka. Traktujemy to jako przedtropikalny trening, bo za kilka dni kiedy znajdziemy się już w gorącej Afryce picie wina będzie

niemalże obowiązkowe. Wieziemy ze sobą kilka beczek wytrawnego napoju rodzimej produkcji. Jeszcze nigdy nie miałem okazji spróbować, a podobno polskie wina wytrawne nie są wcale najgorsze. Okaże się po degustacji.

Ryczy grająca szafa. Trzeba głośno mówić, by siedzący obok sąsiad mógł coś usłyszeć. Już od Dunkierki, w każdej niemal najmniejszej kafejce atakują nas decybele z grających szaf. Posiadanie mebla do grania jest magnesem przyciągającym młodych klientów, a w portowych miastach marynarzy, którzy najczęściej naciskają klawisz z „Dilaila”.

Trzeba wystać widokówki, pytam więc policjanta, który reguluje ruchem o drogę do coreos i telegrafos. Chyba mnie zrozumiał, ale obawiał się, że jak zacznę tłumaczyć, to mogą nie trafić, więc mnie zaprowadził. Mógł sobie pozwolić na taki gest — ruch w Marin nie jest duży, w ogóle to nie ma czym regulować. Po co więc na każdym niemalże skrzyżowaniu stoi policjant ze służby ruchu? A może w związku z ogłoszonym stanem wyjątkowym? — przyszło nagle olśnienie — kiedy przyklejałem na kartkę znaczek z podobizną hiszpańskiego dyktatora.

Około godz. 18 zegnamy uroczę Marin. Płyniemy obok małych, rybackich kutrów, nasz sześciotysięcznik prezentuje się okazale. Rozpoczął się kolejny etap podróży, którego meta będzie na Wyspach Kanaryjskich, w Las Palmas. Przed północą zaczyna nas porządnie kotłować. Rano, na śniadaniu, spotykają się już tylko same wilki morskie, wśród których nie zabrakło rzecz jasna piszącego te słowa. Przechyliły się tak duże, że wprawdzie siedzimy przy stolikach, ale talerze trzymamy na kolanach. Bardzo zabawnie wygląda wchodzenie i wychodzenie z jadalni... po prostu trzeba poczekać na odpowiednią falę i nura do fotela przy stoliku, a po śniadaniu prosto w otwarte drzwi.

5 lutego. W południe znajdujemy się na wysokości Casablanki. Być może w drodze powrotnej odwiedzimy ten port. Morze uspokoiło się. Szkoda tylko, że zapowiadająca się rano piękna, słoneczna pogoda nie utrzymała się dłużej. Na nic zdały się przygotowania i „strojenie” teleobiektywów do fotografowania delfinów.

Niezawodny sposób na nudę to lektura. Szperamy w różnych atlasach kupionych w Rouen i zabranych w podróż z kraju, zagłębiamy się w encyklopedycznych opracowaniach, przeglądamy foldery. Literatura dotycząca Wysp Kanaryjskich, Las Palmas, jest bardzo uboga. A oto garść informacji:

Obszar wysp wynosi ponad 7 tys. km kwadr. Zamieszkuje je ponad 1 milion osób. Najważniejsze wyspy to: Grande Canarie z dumnym portem Las Palmas, Tenerife z Puerto de la Cruz, Fuerteventura z Puert del Rosaria. Wśród bogactw naturalnych na uwagę zasługują: slarka i pumeks. Na wyspach rośnie tzw. Indygo czerwone — porost skalny — otrzymuje się z niego lakmus oraz czerwony barwnik używany w farbiarstwie. Na wyspie Tenerife znajduje się wulkan, ostatni wypływ lawy miał miejsce w 1909 roku.

Słów kilka o klimacie. W lutym w Las Palmas temperatura dochodzi do 22 stopni C. spada zaś do 14 stopni. Średnie miesięczne opady w tym mieście nie przekraczają w lutym 23 mm, w czerwcu 1 mm zaś absolutne maksymalne opady zanotowane w Las Palmas wynoszą 239 mm (11-stopad, grudzień).

Osiem krótkich dzwonek i jeden długi przerwały afrykańską lekturę. Alarm szalupowy! Ubieram się w kamizelkę ratunkową i szybko na pokład. Mam przydział do szalupy nr 1. Pierwszy oficer sprawdza znajomość obowiązków przez marynarzy. Pasażerowie są od tego, aby nie utrudniać akcji i posłusznie wykonywać polecenia. Stoimy więc i grzecznie słuchamy, a że to alarm próbny oficer pozwala robić zdjęcia, będzie więc i fotoreportaż.

6 lutego. Przed południem „Rzeszów” zacumował w Las Palmas. Po przebyciu ponad 2600 mil morskich dopłynęliśmy wreszcie do Afryki.

VIII Ogólnopolski Konkurs Piosenki Radzieckiej

Wysokie walory artystyczne piosenek radzieckich znajdują powszechne uznanie nie tylko w Europie, lecz również na całym świecie. Śpiewają je zarówno amatorzy, jak i piosenkarze zawodowi. Festiwal Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze obok Festiwalu w Sopocie i w Opolu, są najważniejszymi imprezami w Polsce poświęconymi piosence rozrywkowej. O tym, jak wielką popularnością cieszą się piosenki radzieckie w naszym województwie, świadczy VIII Ogólnopolski Konkurs Piosenki Radzieckiej, którego eliminacje powiatowe obecnie trwają.

Na eliminacje wojewódzkie, które odbędą się w ostatnim tygodniu marca, kwalifikuje się z powiatów od 3—4 solistów i 1—2 małych zespołów wokalnych (duet, tercet i kwartet).

W wielu powiatach konkursowi towarzyszy szereg imprez poświęconych muzyce ZSRR. W kilku miastach Rzeszowszczyzny eliminacje powiatowe poświęcone były obchodom 51 rocznicy powstania Armii Radzieckiej, np. w Kolbuszowej i Jarosławiu. (hr)

Nagrodzone fotogramy

Niedawno rozstrzygnięto Ogólnopolski Konkurs Fotograficzny ogłoszony przez Wydział Kultury WRN i MRN, WKZZ i Rzeszowskie Towarzystwo Fotograficzne. Konkurs miał na celu pokazanie przemian i osiągnięć w 25-lecie istnienia PRL.

Przypominamy — z 219 nadesłanych prac czarno-białych i 11 barwnych, pierwszą nagrodę przyznano Jerzemu Żakowi z Rzeszowa, drugą Jerzemu Jawczakowi z Rzeszowa i Włodzimierzowi Wróblowi z Lublina, a trzecią Józefowi Lięgzie z Katowic i Aleksandrowi Hadale z Rzeszowa.

Wszystkie nagrodzone i wyróżnione prace są od czwartku bieżącego tygodnia prezentowane na wystawie w rzeszowskim MPiK-u. (just)



Fot. JERZY ŻAK, tytuł: „Bieszczadzkie drzewo”.

Edmund Gajewski

Polski wódz Indian „Biała Chmura” nie żyje

BARWNE ŻYCIE
— ROMANTYCZNE DZIEŁO

Niezwykła historia naszego rodaka z Kamionki, Stanisława Smolaka, który za Oceanem został białym wódzem Indian, była przed kilku laty pasjonującą lekturą prasową.

6 listopada ub. roku, jak doniosła prasa polonijna, w Cross Village Michigan odbył się pogrzeb „Białej Chmury”, a Polonia „straciła samorodny, oryginalny talent artystyczny”. Pracowite i barwne życie tego niezwykłego emigranta, który jak sam twierdził — nie mógł się pogodzić z wyzyskiem i krzywdą ludzką, znieść dusznej moralnie atmosfery miast amerykańskich — zasługuje na przypomnienie i garść nowych szczegółów.

Materiały i zdjęcia do tej publikacji uzyskałem dzięki uprzejmości siostry Stanisława Smolaka „żywej kroniki rodzinnej wsi Wilhelma Macha i Smolaków — pani MARI PIPIAŁY z Czarnej oraz bratanka białego wodza EDWARDA SMOLAKA z Sedziszowa.

Stanisław Smolak wyemigrował z rodzinnej Kamionki jeszcze jako młody chłopak. Pochodził z rodziny niezwykle utalentowanej muzycznie. Wszyscy Smolakowie grali ze słuchu na wielu instrumentach. Nut nauczyli ich czytać 18-letni wówczas brat Jan, który zdobył tę umiejętność u jakiegoś nauczyciela w Mielcu. Rodzina występowała na wiejskich weselach, w różnych uroczystościach, nawet uświetniała zabawy dla inteligencji w Ropczycach i innych miasteczkach. Najstarszy z braci Stanisław Smolak pozostawił jednak po sobie sławę mistrza majsterkowania — jak barwnie opowiada jego siostra — 1910 roku na wystawie rękodzieła technicznego w Ropczycach zdobył on I nagrodę za rower, który wykonał całkowicie z drzewa. Wtedy jeszcze Stanisław Smolak nie snił o barwnym pióropuszu. Praca w fabryce była spełnieniem jego najgorętszych marzeń.

W tym roku emigruje do USA, ciasno mu jednak w fabrycznych murach, nie odpowiada mu gorączkowa atmosfera pogoni za pieniędzmi. W swoich wędrówkach Stanisław Smolak dotarł do Stanu Michigan. Tutaj urzekły go rozlane wody jeziora otoczonego dziewiczym lasem, piękny widok na „Wyspę Bobrow” i mniejszą „Wyspę Świń”.

Pierwsze zetknięcie z Indianami, ludźmi spokojnymi i jak ich określał „czystymi i szlachetnymi” wywarło na nim wielkie wrażenie. Wkrótce znalazł wśród nich przyjaciół, którzy obdarzyli go zaufaniem i sympatią. Gościnnie na ziemi nad Jeziorem Michigan staje się krajem obiecany

dla naszego rodaka. W czasie swoich wędrówek po okolicznych lasach i kanionach, wrażliwym okiem artysty wykrywa dzieła sztuki stworzone przez naturę. Pniaki, konary, gałęzie, a później dzieła sztuki indiańskiej, tworzą interesującą kolekcję. Tak zaczyna się kariera człowieka czynu i niemałej fantazji. Kaniony dostarczają mu glazów na budowę domu, który wznosi sam bez nieczyjej pomocy, wnętrza ozdabia swoją kolekcją. Artysta-emigrant przekształca dziwnie pokrzywione konary i korzenie w oryginalne meblowanie, niepowtarzalne i jedyne tego rodzaju. Tak powstaje polska gospoda, której oryginalność przynosi jej rozgłos w całych Stanach Zjednoczonych, ściągając turystów.

Tymczasem wódz szczepów Chippewa i Ottawa — Thunder Clouda odszedł w krainę wiecznych łowów. 7 września 1942 roku do miejscowości Cross Village z północnej części dolnego Stanu Michigan od samego rana ciągnęły grupy Indian. Niektórzy wierni tradycji na koniach, inni autami i pieszo. Na polanie, wśród dwóch strzelistych topoli, gdzie znajduje się tron wodza, w wielkim milczeniu gromadzą się tłumy. Z uderzeniem godziny 12 na ukwieconym wozie ciągniętym przez młodzież w stroju indiańskim, przybywa na polanę wódz elekt White Cloud — „Biała Chmura”, nasz rodak Stanisław Smolak. Za wodzem postępuje w powadze i skupieniu starszyzna, przedstawiciele szczepów, a wśród nich gąsior (szczep Ottawa czci gąsiora jako symbol czystości. Jak głosi tradycja, dzięki alarmowi, który podniósł, szczep ten został u-

przedzony o podstępny napadzie wroga i ocalał). Wódz zatrzymuje się przed tronem. Teraz indiańscy młodzieńcy znoszą go na swych barkach i odstepują do tyłu. Na czoło wysuwa się starszyzna odprawiając jakieś tajemnicze misteria. Jeden z nich podnosi obydwie ręce w górę. W tej chwili tłum wydaje radosny okrzyk, powtarzając go trzykrotnie. „Biała Chmura” zasiada na tronie, a dwóch starszych Indian przybiera jego głowę barwnym pióropuszem. Okrzykom nie ma końca. Na znak wodza robi się cicho. „Biała Chmura” mianuje teraz swoją świętę. Niemalęgo zaszczytu dostępuje jeszcze jeden Polak — Franciszek Wolak. Na rozkaz wodza gąsior zostaje powierzony jego opiece, a Franciszek Wolak zgodnie z tradycją pieśczołiwie go obejmuje i składa na jego głowie pocałunek. Wódz wypowiada teraz kilka słów w narzeczu Indian. Jest to sygnał do zabawy. Rozpoczynają się tradycyjne tańce, gonitwy i popisy. Gąsior widocznie przywykł do podobnych uroczystości, bo również wykonuje tańeczne ruchy majestatycznie się kołysząc. Uroczystość kończy się w wigwamie White Clouda, czyli w polskiej gospodzie.

Wierzcie lub nie wierzcie, ja tam byłem i „wodę ognistą piłem”.

Wilhelm Mach, który urodził się w 5 lat po wyemigrowaniu Stanisława Smolaka z Kamionki, w 1960 roku odwiedził USA i w „Dzienniku Związkowym” tak relacjonuje swoje spotkanie z „Białą Chmurą”: (wyjątki)
„Znalazłem się w malej, ślicznej osadzie Cross Village. Było pod wieczór. Trafiliem do jego domu, bo mi pokazali. Nie było tam akurat nikogo, a trzeba państwu wiedzieć — że jego dom jest przedmiotem, jest obiektem turystyki ogólnoamerykańskiej. To będzie właśnie moja historia. Zjawił się wódz Stanisław Smolak.

Obrzymi gladiator, potężny człowiek, wiekowy oczywiście. Nie będę teraz dociekał w jego życiorysie daty urodzenia. Ale



Na zdjęciu: „Biała Chmura” i totem.

już sam nie jestem młodzieńcem, a on na parę lat wyemigrował przede mną, to chyba już ma po siedemdziesiątce. Zobaczyłem przed sobą człowieka czarnowłosego, bez jednego siwego włosa, obrzydła. Uśmiechnął się do mnie, podszedł i przedstawił mi się. Rozwarł ramiona obrzydnie jak konary i zapytał: „Wilek Mach, tak! Ale człowieku, ja przecież świetnie pamiętam Twoją rodzinę! Dziecko, co się z Tobą stało? — ty urosłeś!” Urosłem. — „Ale, co ty z sobą wyprawiasz. Słyszałem, że ty piszesz książki”.

Na drugi dzień o godzinie 7 słyszałem jego niespokojne kroki, jego pochrząkiewania, słowa różne rzucane do domowników. Zorientowałem się — że czuje się zdenerwowany i do czekać się nie może, i to było wrzuszające. Zresztą pod jakimś pretekstem wydobył mnie rzeczywistość z pościeli od razu z niesłychanym impetem na mnie wpłynął:

Runał nieoczekiwaną siłą swojej umysłowości, swojego oczyszczenia, głębokich zainteresowań prasą, książkami i wywołał po prostu moje zdumienie.

I proszę państwa, ja w tej chwili odbywałem regularną konfe-

rencję prasową we dwójkę. Tak, zobaczyłem, że ślicznym kaligraficznym pismem napisał takie pytania: „Jak ja oceniam przyszłość ustroju kapitalistycznego i socjalistycznego?”

„Jak oceniam politykę watykańską?”
„Jak oceniam szanse pokoju i ewentualnie możliwość wojny?”
„Jak oceniam sytuację emigracji z Polski do USA?”

„Biała Chmura” przeżył 81 lat. Odszedł w krainę wiecznych łowów, aby połączyć się z żoną, którą stracił na początku ub. roku i synem — ofiarą wypadku samochodowego w 1952 roku. Z głębokim żalem żegnali go brat Jan z rodziną, który przed 5 laty przybył z Polski, liczne grono przyjaciół i zawsze wierni mu Indianie plemienia Ottawa i Chippewa

Jak doszły mnie pogłoski, w lutym tego roku miał być otwarty testament Stanisława Smolaka. Podobno własnoręcznie zbudowany „wigwam-muzeum” chciał zapisać Indianom. A może jego brat Jan, którego „zwerbował” przed laty, chcąc uczynić swym następcą, zyska zaufanie Indian i zostanie drugim białym wódzem Indian?...

Listy
DO PRZYJACIELA

Czyś zastanawiał się kiedy, że w każdym człowieku drzemie potrzeba czułości na równi z ujawnianiem swojej lepszej strony, tklivości, uczuć dobrych? Cóż czynią wtedy? Młode małżeństwo fundują sobie z reguły niemowlaka, stare panny — koty, dzieciom kupujemy psa, znużeni mężowie znają szereg sposobów na umieszczenie tklivości poza swoim domem, żony bez obowiązków czują się nad sobą: siedzą u fryzjera, krawcowej, masażystki, manicurzystki i zmieniają się z wiekiem w gatunek „paniusz” — oczywiście słowo jest z repertuaru o strasznych mieszczanach. Poza niemowlakami i zwierzostanem domowym, przeciw któremu nie mieć nie można, bo wdzięczny on i dla człowieka przyjacielski — na ogół bywa ta czułość źle umieszczana i nie procentuje.

A przecież znam parę miejsc, które czułości pozbawione, są jeszcze smutniejsze; znam wiele relacji człowiek — człowiek, z których czułość zniknęła właśnie wtedy, gdy na nią liczone, była nieodzowna do życia; są przecie

domy starych ludzi, są domy rzekomo własne, z których dawno wywietrzała miłość, są staniące przy drzwiach, zapchane w najciemniejszy kąt kuchni, obarczone torbą na zakupy, ścierką do sprzątania i szorstkim słowem. I tym, i tym marzy się tklivość. Jeśli świat się dowiaduje o tym marzeniu (a bywa to nie nadbyt często), ofiarowuje co najwyżej rozsądek i łut zyczliwości. Rownolegle do normalnego życia toczy się to życie ciemne i krótkie już, które rzadziej hartuje charakter niż je niszczy.

Muszę Ci wyznać, że dostałam niedawno list od starszki z domu starców, w którym przesyłała mi pakiet wierszy do przeczytania i dużo, dużo ciepłych słów. Mam te wiersze przed sobą; zresztą nie są wierszami, lecz zbiorem tkliwych listów do człowieka jakiego bądź człowieka, który by chciał je czytać. Jest w nich radość z powodu jeszcze jednego ciepłego dnia na wiosnę, słońca, trawy, drzewa jabłkiem obciążonego i jest w nich, podświadoma zapewne, pustka niejzaż piękna, nieożywiona



Na zdjęciu: „Biała Chmura” i jego syn przed „wigwamem” zbudowanym przez niego bez jakiegokolwiek pomocy.

Jan Grygiel

Scieżkami naturystów

Trochę spóźnione jest to omówienie debiutu poetyckiego Emila Granata i to z winy recenzenta, nie zawsze mogącego w nawale zajęć nadać za najnowszymi zjawiskami w ruchu wydawniczym. Lepiej jednak późno niż wcale, gdyż tomik „Wracając ziemią” zasługuje na uwagę i rokuje dobre nadzieje na dalszą twórczość poetycką autora. Emil Granat przedstawiciel młodego środowiska literackiego Rzeszowa, członek KKMP, debiutował jako poeta w roku 1960 na łamach „Nowin Rzeszowskich” (w „Widnokregu”), później publikował swoje wiersze w pismach codziennych i literackich. Jego debiut książkowy w ubiegłym roku, chociaż nie imponuje objętością, jest publikacją artystycznie interesującą i cenną, jako propozycja poetyckiego widzenia świata. Wiersze Granata nie urzekają gładkością, melodyjnością i harmonią, przeciwnie, są chropawe, pełne dysonansów i zgrzytów. Widać w nich zmaganie się poety z oporem słowa, wyrabianie ścieżek dla każdej myśli w tworzywie językowym. Ale dzięki temu, każdy obraz poetycki Granata jest konkretny, ma wyraziste kontury i prawie brylowatą wypukłość:

„Od wschodu słońca maleńkie boso
 petzlo po pagórkach
 łaki dymły rosą
 ziemia żółkła” („Świt”)
 „Dokąd prowadzi czas
 konary grabin
 dudnią z lasu
 ugięte w koła”
 („Dokąd prowadzi czas”)

Gdzie indziej... noc pomięta
 suknię zmierzchu odrzuca z bioder
 i staje naga — czarny akt...
 lub huragan... „pędził ogromny
 jak rzeka // piorunami błyskały
 kamienie // czasaki zrywał z
 głów domów // martwym tchnieniem”
 („Huragan”).

Druga charakterystyczną cechą wierszy Granata obok ich

plastyczności i konkretności jest silny ładunek ekspansywności i dynamizmu. Świat w nich jest w nieustannym, gwałtownym ruchu. Gdyby poeta nie nazywał się Granat, można by mu zaproponować taki pseudonim, gdyż rzeczywistość niektórych jego utworów znajduje się w stadium eksplozji. Tutaj „wiatr strzepi chmury // tańczy biodrami wzgórz”, „gwiazdy skakały jak klacze” („Po zachodzie słońca”), „pochyłe wzgórze wiatr targa // i pola smaga // wron krzykiem...” („Akt”). „Krzycał dzień pochwycony za pysk...” progi są napeczeni bole, pola nabrzmięte od chleba, „nad brzegiem Wisły zastygły” żywe pióra // twojego głosu i krzyku...” („Wielowieś”) itp.

W wierszu „Huragan” każda strofa wibruje od gwałtownego ruchu:

„Porwał wieś za pałąk
 pochylej wierzby
 bił kopytami wierzgał jak
 tarpan
 błyskawice kłuły jak osy
 trzaskał niebieski parkan...”

Czasami Granat płaci zbyt wysoką cenę za dynamizację wiersza. Osiąga ją za pomocą trochę naiwnych personifikacji i animacji zjawisk natury. Tym bardziej iż poeta zalicza się do grona „naturystów”. Najczęściej źródłem jego inspiracji twórczej jest rustykalny krajobraz, uroki pejzażu nieskażonego wpływami cywilizacji technicznej. Taki jest chyba program poetycki Granata — świadczy o tym tytuł zbiorku „Wracając ziemią”. Poeta głosi konieczność powrotu do natury w całym zbiorku, lecz najdobitniej w wierszu tytułowym:

„Wracając ziemią już
 pożegnaną
 poznamy kształty jej barwę
 i zapach
 jak matkę poznajemy
 wyczekującą u progu
 i będziemy płakać
 nad spotkaną dziewczanną



Będziemy płakać nad skibą
 czarną
 lkać pod wierzbami u dróg
 kłękniemy
 dni obejmować strzechy
 i ręce
 Tu i już nigdzie więcej
 Krew tryśnie spod drwi
 ziemia znów nam się odda
 otworzy cmentarze”
 („Wracając ziemią”).

Można oczywiście polemizować z takim widzeniem świata, można zarzucać poecie skłonność do ucieczki w arkadyczną krajinę na łono natury, ale nie można odmówić jego wierszom szczerości i uczuciowego zaangażowania. Debiutancki tomik Emila Granata jest zapowiedzią może jeszcze niezbyt precyzyjnie sformułowaną poezji dynamicznej, żywiołowej, pozbawionej ambicji skrajnego eksperymentarstwa i smaczków konwerskich. Ujmuje w nim liryzm i prostota oraz dążność do własnego, osobistego stosunku do rzeczywistości mimo pewnych konsekwencji. Pięć wierszy poety z twórczością Pietaka i wykorzystywaniem przez niego sprawdzonych środków wyrazu poezji awangardowej. Jako następna z kolei poetycka edycja książkowa Rzeszowskiego środowiska KKMP po dwu tomikach Józefa Janowskiego, oraz debiutach Tadeusza Piekła, Czesława Kondraciuka, Wiesława Kulikowskiego, Barbary Tondos i Tadeusza Kubasa dobrze świadczy o prężności tego środowiska i jego dojrzewaniu.

Emil Granat: „Wracając ziemią”, Łódź 1968 — Wyd. Łódzkie (Biblioteka Młodych).

Nowa premiera „Kacperka”

„Pietrek niebieski”

Utwór węgierskiego autora Urbana Gyula, jest sztuką lalkową dla dzieci, której treść wypełniają perypetie błękitnego szczenięcia, wykiętego z mondo cana za niezwykły kolor sierści. W bajkowej umowności przedstawienie spełnia rolę pamfletu na przejawy współczesnego życia i aktualne zjawiska ze świata ludzi.

Dziecięca widowia jednoznacznie przyjęła zagęszczone w sztuce problemy krzywdy, zagadnienie dobra i zła, winy i kary — które my, dorośli, określamy mądrymi słowami: dyskryminacji, rasizmu, przyjaźni i internacjonalizmu. Nieprzypadkowo też w konwencji utworu ściera się sfera fantazji z królestwem cywilizacji i techniki, współczesnego homo sapiens. Akcja przedstawienia balansuje między tym, co rzeczywiste, konkretne, a tym, co może być tylko tworem wymysłu, wyobraźni.

Naszego niebieskiego bohatera widzimy na autostradzie wśród tajemniczych dla psiego rozumu znaków drogowych, niepojętego sensu świetlnych semaforów na ulicy New Yorku, drapaczy chmur i szokującego ruchu samochodowego. Pietrek wchodzi w kolizję z kodeksem drogowym, gubi się w tym racjonalnie zarządzanym świecie człowieka. W tym miejscu należy się realizatorom zasłużony ukłon. Reżyser, scenograf i muzyk doskonale zaplanowali kompozycję ruchu, tak ważną w przedstawieniu lalki, aktora w karykaturalnej masce i swojej rzeczywistej postaci — ułatwiając jednocześnie działanie na różnych poziomach scenicznych (np. spotkanie z gospodarzem, milicjantem, czy marynarzem). Te zabiegi nie tylko podkreśliły pewne realia wzięte z życia, ale także znalazły niebanalne zastosowanie w scenach z dziedziny fantazji i egzotyki, w obrazach rzeźwionych, o intensywnych emocjach, o szlachetnym podkładzie.

Nie ujmując wartości poprzednim premierom w Teatrze Lalki

i Aktora „Kacperka” w Rzeszowie, ta ostatnia dostarcza szczególnych wrażeń. Inscenizacja „Pietrek Niebieski” nie jest z takich przedstawień, o których mówi się, że są dobre, ale tuzinkowe — widać w nim ambicje i ładne propozycje realizatorskie. Zastęga to nie tylko konsekwentnej reżyserii, efektownej scenografii i dobrej muzyki — ale także wkładu aktorskiego. Jak dotąd, były okazje do utyskiwania z powodu dysonansów gry, tak w „Pietruku” aż porывало uznanie dla giętkości, szczerej werwy, sprawności aktorskiej demonstrowanej przez cały zespół. (just.)

Urban Gyula: Pietrek Niebieski. Reżyseria: St. Stojakowski. Scenografia: J. Szymański. Muzyka: Zb. Jezewski. Lalki i dekoracje wykonano pod kierunkiem: R. Stojakowskiej. Obsada: Z. Czechowska, Z. Czechowski, T. Czwałki, R. Szetela, B. Tycharnicz, E. Umńska, T. Wlasek. Państwowy Teatr Lalki i Aktora „Kacperka”. Premiera luty 1969 r.



człowiekiem. Gdzieś tam tylko przesuwają się wspomnienia dni dawnych i ludzi dawno za sobą pozostawionych; teraźniejszość jest już tylko pejzażem abstrakcyjnie czystym.

Bo przecież życzliwość ludzka, która zapewne otacza tę starszkę nie znaczy to samo co czułość, co słowo tkliwe, pamiętane z przeszłości, którym ją kiedyś obdarzano i którym sama szafowała wokół siebie.

Pisze, że jej bliscy nie mają czasu na listy, bo życie ich goni. W skardze, jeśli to w ogóle skargą można nazwać, pomieszcza momentalnie wytłumaczenie. „Bliscy” bowiem — to jedyna ludzka wartość realnie do niej przynależna. Coś, co przypomina młodość, czas czynnego uczestnictwa w życiu, o których dzisiaj można jedynie pisać wiersze. Wiersze bez rymu, interpunkcji, strof. Zapisane plachetki papieru o tym, że:

„W trawie siedze i słońce mnie gładzące po włosach jak też pachnie jabłko jabłkiem obciążona. Czy ją kiedy zobaczę jak tamto lato z Marynią u sukni się plątającej. Czy rozpoznam smak cierpkiej renety nie wyleżanej w piwniczym chłodzie stołcem przświetlonej”...

I tak jest dalej. O sadach. Rzece. Stołcu. Pustym pejzaż, z „bliskimi” małymi w tle owego temps passe.

Bliskich goni życie — pisze. Bliscy gonia życie — myślę.

Pieszko i w samochodach: w futrach i tandentnych płaszczkach — właściwie realia są tu

bez znaczenia, choć często im one doskonalsze w gatunku — tym ostrzej odbiera samotność stary człowiek. I bliscy nie rozumieją się ze starymi ludźmi.

Czy nie nazło Cię kiedyś wrazenie, że starzy ludzie denerwują? Ze mówią innym językiem? Ze nie to dla nich ważne, co dla Ciebie ważne? Ze czepiają się kurczowo świata minionego, o którym nic powiedzieć nie możesz, bo go nigdy nie znałeś? Ze gdzieś tam, w Twojej niedalekiej przeszłości nastąpił moment rozejścia się waszych celów? Ze przestałeś odczuwać potrzebę konsultacji z kimś od Ciebie mądrzejszym, boś zdobył lichą garstkę własnego doświadczenia? I czy nie zdziwił Cię boleśnie fakt, że nie musisz już lecieć do ojca bądź matki, by zdać relację z niepowodzeń, pytając rozpaczliwie „co mam robić dalej”? Ze sam już wiesz, co masz robić i samodzielnie chcesz ponosić konsekwencje tej wiedzy, decyzji po raz pierwszy całkowicie własnej? I czy do tego uczucia przykrego zaskoczenia o nieprzypadności sądów najbliższego do tej pory człowieka — nie zakradła się przypadkiem gorzka duma, że tak oto objawia się Twoja wspaniała odtąd dorosłość? Myślę, że to jest właśnie ten moment rozejścia, decydujący o przyszłych stosunkach rodzinnych.

I tu zaczyna się bliski proces taktu i wzajemnego pobłażania (pobłażania naturalnie na po-

czątku drogi dorosłości, kiedy sobie i tylko sobie wierzysz), który niespartaczony wzajemną nieudolnością mógłby zapoczątkować po naturalnej zależności, najpierw biologicznej, później psychicznej, zupełnie dorosłą i naturalną między dwójmiej dorosłych przyjaźń. Ani starzy dorośli, ani młodzi dorośli nie umieją najczęściej tego momentu uchwycić, przytrzymać, jako wartość najcenniejszą, przez życie nam darowywaną i najczęściej wtedy uciekają od siebie wzajemnie. Młodzi w świat nęcący wtedy jaskrawym pozorów, bujnością wrażeń, nieskończonością perspektyw, jednostronnością celów; starzy, jeszcze nie dość starzy, by być od kogokolwiek zależnym, zadraśnięci w dumie wyłącznych posiadaczy uciekają w tę resztkę życia, która przed nimi, czasem w tę resztkę, które mam w tym momencie pozorami wolności od obowiązków rodzicielskich i pełną, twórczą dojrzałością, w udawanie, że o niczym nie marzyli, tylko właśnie o tym odciążeniu, o nieprowadzeniu nikogo za rączkę, o wyzwoleniu się spod jarzma kilkunastoletniej odpowiedzialności, kiedy to kęś chleba i morale dziecka toczyły swoje racje pierwszeństwa w życiu rodzinnym.

Taki przegagniony moment mści się później okrutnie w dalszym życiu znowu najczęściej kleski spadają na starych dorosłych. Bo oni się starzeją s z y b c i e j; — gorzkniej s z y b c i e j.

szybciej przychodzi na nich czas tęsknoty, za owym obowiązkiem wychowywania, który od najmłodszej młodości dźwigał. I ani rusz nie mogą pojąć, że się spóźnili z wyznaniem afektów; że są unuki i ich młodzi dorośli zdążyli przyjąć na siebie odpowiedzialność za własnych najmłodszych; że wnuk jest ważniejszy od dziadka, że zainteresowania rodzinne przeniosły się z własnych rodziców na własne dzieci. Bo w międzyczasie w rodzinne życie wszedł mąż, żona — człowiek z pozoru obcy, ale im dalej w przyszłość — tym bliższy, tym bardziej najważniejszy. Wieszcz narodowy powiedział, że „oddalenie jest jak wiatr, który mały płomień gasi, a duży roznieca” — rodzinne uczucia są dużym płomieniem wtedy, gdy istnieje zależność; bywa, że przestają być dużym, gdy nie ma zgody w zapatrywaniach, gdy nastolatek osiąga dojrzałość. I wieszcz bodaj się mylił, bądź nie brał pod uwagę afektów rodzinnych, cały zajęty swoją Marylą — oddalenie pracuje w rodzinie tylko na korzyść młodych — nigdy starych. Starzy zostają sami, niepotrzebni duchowo — co najwyżej przydatni fizycznie. Właśnie w najcięższym kącie kuchni, z torbą na zakupy i ścierką do sprzątania.

Czyż muszę Ci czynić zastrzeżenie, że nie zawsze tak bywa i że nie wszyscy starzy zostają sami, bo w końcu znamy oboje paru starych kochanych i dalej

najlepszych, najwartościowszych, bardziej nam potrzebnych od chleba? Myślę, że nie jest to konieczne w równej mierze, co przypomnienie o prostej biologicznej prawdzie, że wszyscy zdążamy ku starości, że życie składa się z powtórek sytuacyjnych. Czynię je jednak dla spokoju sumień tych, co w porę uchwycili bezwzględnie rację życia, że kiedyś trzeba być samotnym, za siebie odpowiedzialnym, by poznać smak zarówno zwycięstwa jak porażek, ale dzięki olśnieniu tą prawdą, znowu jak chleb oczywisty, nie odrzucili możliwości przyjaznego korzystania z doświadczenia tych, którzy ich wychowywali.

Bo łatwo jest przeczytać wiersz i pobażliwie nie nazwać go wierszem; trudniej pojąć słowa „czy ją kiedy zobaczę jak w tamto lato”, nie kojarząc ich z wizją „tamtego lata”, kiedy, platając się u nóg swoich dorosłych, w sukniach znajdowały schronienie, bezpieczne wrota ratu. Powstrzymujące złe nawalnice.

A ponieważ ostatnio odkrywam ponownie uradę doszczętnie obrzydzonej mi przez szkole poezji renesansu, w tym Sepa - Sarzyńskiego, posłuchaj, co mówi w tym dwunastym wierszu:

„O, szczęśliwy, kto stanu dostawszy wielkiego Pomni, czum był, i baczny moc szczęścia zmiennego”.

KRYSTYNA

KOESPONDENCJE POLEMIKI DYSKUSJE KOESPONDENCJE

Jan Ulrych

Zamknięte drzwi — otworzyć!

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Nie bez wzruszenia przeczytałem skromny, bo króciutki i graficznie wkomponowany w margines „Widnokregu” z dnia 9 II. br. artykuł p. n. „Eksperyment: ścieżka obok szkolnej drogi”...

Rzeczy szły nadal po staremu, płynęły waziatkiem ciurkiem, jeśli nie użyć określeń: stagnacja czy regres. Tzw. czynnik miarodajny — a mam tu na myśli kuratorium — nie wypowiedziały się o tym niewdzięcznym eksperymencie.

Czy nie było o czym mówić? Czy zagadnienie uważano za tak bagatelne, że do skwitowania wystarczającym współczynnikiem okazał się raz do roku sprawozdawczy arkusz statystyczny?

A przecież uchwała V Zjazdu nakłada obowiązek badań pedagogicznych oraz doskonalenia organizacji, metod i środków pracy dydaktyczno-wychowawczej. Intensyfikacja rozwoju nauk pedagogicznych nie pomija — w myśl wskazań naszej partii — eksperymentu jako środka prowadzącego do uogólnień i teorii...

Pani Zaleska pisze: „Parę lat temu zapalono zielone światło dla eksperymentu w oświacie... ustalono formy szerokiego stosowania naukowo sprawdzonych systemów wychowania i nauczania.”

Nie, nie zdąży, proszę pani, ponieważ — nie umieliśmy (czy się nam nie chciało) stworzyć odpowiedniego klimatu, nie rozwinieliśmy wokół początków eksperymentatorskich właściwego zainteresowania, nie wzięliśmy tu i ówdzie prace nowatorskie w opiekę, nie zrozumieliśmy ich w pełni...

Cóż mówić o idącej do szkół z zewnątrz szerokiej inspiracji potrzeb i pomysłów czy szeroko pojętej pomocy? Życie, proszę pani, dowiodło, że na tym odcinku należy zanotować wiele zaniedbań, nieporozumień i błędów.

Pisze pani, że w wieloletniej swej pracy trafiła do szkół eksperymentalnych, gdzie dzieci bez trudu rozwiązywały skomplikowane, matematyczne zadania za pomocą kolorowych klocek...

Trzeba tu zastrzec, że nie może być mowy w tych wypadkach o szkołach eksperymentalnych czy eksperymentujących. To nie eksperyment oglądała p. Zaleska, ale lekcje upowszechniające — stosowanie naukowo i praktycznie sprawdzonych systemów, metod, form organizacyjnych w szkołach wiodących (system kolorowych klocek — o ile mnie pamięć nie zawodzi — pochodzi z Belgii) na gruncie polskim...

Cóż, nie takie rzeczy się czytało i nie warto byłoby się nad tym rozwodzić, gdyby nie interesujący skądinąd sposób przedstawienia tego konfliktu przez autora. Otóż dyrektor ten to typowy „szwarczak”, „...wredny i mściwy”, zresztą nie bardzo wiadomo dlaczego, gdyż brak tutaj jakiegokolwiek motywacji psychologicznej.

Gdybyśmy chcieli nazywać eksperymentami na przykład prace w zespołach uczniowskich, byłoby to niczym innym jak — przedstawiając sprawę obrazowo — przemiałem obrazy, a jak i ludziom z podstawowym niepełnym nawet wy-

kształceniem wiadomo, że nikt tego nie robi po raz wtóry; mąkę miesza się, przesiewa, używa w różnych recepturach do wypieku itp.

Nie jest eksperymentem zastosowanie metody problemowej, natomiast byłoby to naprawdę ciekawą i pożyteczną pracą, gdyby — po uprzednim zbudowaniu struktury eksperymentu — poddać przebadaniom nową metodę — metodę pytań dziecka (rzecz nowa — brak na ten temat literatury).

Zatem szkoły, o których wspomina autorka notatki, to typowe szkoły wiodące. (Na marginesie dodam, że w roku 1965 mieliśmy w okręgu rzeszowskim tylko 3 szkoły eksperymentalne w Nowym Borku „Przylasku”, w Miłocinie, pow. Rzeszów oraz w Bierławce, pow. Jasło, a w roku szkolnym 1965/66 miało ich powstać kilkanaście).

Autorka notatki wymienia „eksperymenty” nad doskonaleniem metod form organizacyjnych. Eksperyment może dotyczyć również treści rozpracowywanych w ujęciu wąskim lub szerszym np. planowania materiału programowego przez młodzież szkolną — oczywiście pod nadzorem i pracą kierunkową nauczyciela. Kształtowania świadomości i postaw moralnych zmienionymi środkami dydaktycznymi, przeszerogowanie motywów uczenia się (dobór innych niż tradycyjne itd., itd.).

W latach 1962-65 miałem i ja także często okazję zetknąć się z tzw. „eksperymentem”, najczęściej prowadzonym w szkołach ogólnokształcących — liceach, rzadziej w szkołach podstawowych. Obserwacje (autorki notatki i moja) są zbieżne: szkoły, najczęściej bez dokumentów i zapisu strukturalnego koncepcji osiągały duże wyniki, nie miały jednak należytej więzi z zewnątrz, pracowały „sobie, a muzom”. Brakło — jak słusznie p. Z. akcentuje — wymiany doświadczeń i szerszego oddziaływania na inne szkoły. Brakło także ukierunkowania pracami, brakło wytrwałości niekiedy doprowadzenia doświadczeń i prób do końca. Sfinalizowania nie doczekały się często bardzo ambitne i pracowite przygotowania i kontynuacja.

Za jedną z przyczyn tego stanu uważam brak elatu jednego tylko człowieka, który by wyłacznie mógł zająć się tymi sprawami. Jako organ pomocniczy, opiniodawczy (rodzaj komisji dla spraw eksperymentu), proponowałbym powołanie — prócz pracownika przedstawiciela kuratorium, placówki naukowej WSP i wybitnego reprezentanta szkół — nauczyciela praktyka (w powiatach ukonstytuowane mogłyby być analogiczne zespoły).

Uwagi p. Zaleskiej — w zasadzie słuszne — będą — przypuszczam — zaczynem do szerszej dyskusji i doczekają się chyba syntezy. Obawy szanownej au-

torki, że znajdują się oponenti, którzy potrafią wysuwanym postulatom przeciwstawić szereg argumentów, nie wydają się uzasadnione. Obawa pierwsza: znajdują się tacy, którzy powiedzą „nie stać nas na to”. Z ekonomicznego punktu widzenia — eksperyment pedagogiczny (z wyjątkiem eksperymentu programowanego i ustrojowego) jest niesłychanie tanim przedsięwzięciem. Zakładamy, że doświadczenia, eksperymenty przeprowadzamy środkami dydaktycznymi, którymi każda lepiej wyposażona szkoła dysponuje. Na brak wyposażenia szkół nie ma co narzekać. Brak natomiast pełnego wyposażenia izb lekcyjnych nie stanowi przeszkód uniemożliwiających przeprowadzanie niektórych eksperymentów. Eksperyment (mamy na to potwierdzenie) może być kontynuowany w bardzo trudnych warunkach (szkoła o 2 nauczycielach w Nowym Borku „Przylasku”, pow. Rzeszów).

GORZEJ przedstawia się sprawa, co łatwo sprawdzić, z gospodarką limitu 200-złotowych dodatków specjalnych — nie zawsze docierają do zasłużonych rąk.

Obawa druga: kwestia kadr. Zamiast wylczenia przodujących nauczycieli w naszym okręgu (tylu znanych mi), ludzi pasji i entuzjazmu, uzdolnionych, o dużej inwencji — czynnych i potencjalnych eksperymentatorów, mających zadatkę do prac nowatorskich, których można znaleźć w wielu szkołach, ośrodkach ognisk metodycznych i wydziałach oświaty, skwitujemy, aby skrócić, nieco te gorzkie refleksje, przykładem (przykłady choć trudno to stwierdzić uogólnić — wyjaśniają).

W roku 1965 Instytut Pedagogiki, Warszawa, ul. Górczewska 8 (też przedzjadłowe predestynują, raczej umacniają placówkę tę do roli koordynatora) zorganizował w roku 1965 kurs ogólnopolski dla nauczycieli eksperymentatorów w Krakowie (lipiec) i współuczestniczył w zorganizowaniu kursu z zakresu tych prac dla wybitniejszych nauczycieli kszalskich w Kołobrzegu (sierpień). Z naszego terenu m. in. zaproszono pracownika OOM do prowadzenia z uczestnikami seminariów. Lecz, o dziwo, kierownictwo Kuratorium nie zaaprobowowało zaproszonym wystawienia delegacji, podobno ze względów formalnych. Przykład — taka w wyobraźni plastyka ukośna kreska przez człowieka — zresztą odanego bez reszty pracy i na tym odcinku — a może symbol ustosunkowania się do tych z wielu względów potrzebnych i naprawdę pięknych prac, którym domknęło drzwi, a które jednak trzeba szeroko otworzyć (tak chce uchwała V Zjazdu).

Tyle jeden przykład — czy jedyny?

Bronisław Dryja

Nie bądźmy adwersarzami

Stali czytelnicy „Nowin Rzeszowskich” wiedzą, że noworoczna kolumna wierszy, członków rzeszowskiego KKMP, była owocem narady z udziałem redaktorów „Widnokregu”, z czego należy się cieszyć i... smucić. Cieszyć się trzeba, bo młodzi adepci sztuki poetyckiej uzyskują otwarte drzwi... Smucić — również — bo otwarto drzwi zbyt szeroko. Myślę o toczącej się do dziś dyskusji na łamach „Widnokregu” o „nieszczęśliwych” kilku wierszach na owej kolumnie. Celowo używam określenia „nieszczęśliwych”, gdyż zamąciły one w głowie nawet (!) kolegów po piórze z KKMP.

Kolega Tadeusz Piekło (autor ostatnio wydanego tomu wierszy pt. „Próba elipsy”) dokonał próby recenzji wspomnianych wierszy w kolejnym „Widnokregu” nie po to, aby później zbierać mocne gromy pisane nawet językiem „wojskowym” (W. Kulikowski w artykule pt. „Równaj w prawo”). Recenzent pokazał autorom wydrukowanych wierszy (jakkolwiek będąc członkiem KKMP, mógł to uczynić tete a tete) małe niedopracowanie niektórych pozycji, a to równocześnie jest oficjalnym przypomnieniem, że twórca posiada obowiązek systematycznego wyszukiwania nowych, oryginalnych i trafnych wyrazów oraz form obrazowania i kojarzenia zjawisk. Poeta musi rozumieć i odczuwać ciężar każdego słowa, gdyż „Chcemy, aby kultura i sztuka polska lepiej i pełniej odzwierciedlały prawdę i bogactwo życia duchowego naszego budującego socjalizm narodu” (z materiałów V Zjazdu PZPR).

Wysuwane przez kol. T. Piekło uwagi i życzenia pod adresem swoich kolegów są również publiczną informacją dla odbiorców poezji (a to jest bardzo potrzebne!) o tym, że tworzenie wiersza jest pracą nader mozolną, skomplikowaną, społecznie i moralnie odpowiedzialną.

Polemizując z recenzentem m. in. kol. C. P. Kondraciuk ubolewa, że „...szczególnie w ostatnich latach wzrosło się wyż demograficzny wśród poetów” oraz twierdzi, że „...łatwość tworzenia poparta wyszukana nowoczesnością niejednemu przewróciła w głowie”. Rzekomą mnogością młodych pisarzy nie martwmy się. Ci, którzy nie podoleją, sami zejda z ciernistej drogi poezji. Jak natomiast należy rozumieć stwierdzenie autora „Kojarzenia snu”, że nowoczesność przewraca ludziom w głowie, jeśli on sam używa supernowoczesnych określeń we wspomnianym tomiku wierszy? Też niżej podpisany naprawdę nie rozumie.

Jeżeli niektórzy koledzy uważają, że treść publikacji kol. T. Piekły była dla nich krzywdząca, to ich głos w dyskusji winien być inny, subtelny — tego bowiem wymaga kultura człowieka piszącego.

Szewe i krawiec to zawody, które mnie nie interesują. Nie przeznaczam więc wysiłku i czasu na studiowanie sztuki posługiwania się dratwą, igłą i napastrkiem. Dla mnie jest wygodniej i szybciej oddać przynieszoną garderobę do punktu napraw. Niezrozumienie przez czytelnika nader komunikatywnego wiersza „Powrót z Rzymu” Tadeusza Kubasa, wydrukowanego w „Widnokregu” w ub. roku nie jest nowością. Niejeden czytelnik również wybierze łatwiejszą drogę i pisze: Szanowny Redaktorze! Ten wiersz „Jest niezrozumiały bełkot bez sensu”. Praca nad przemyśleniem treści wiersza jest trudniejsza i droższa niż napisanie listu i koszty jego wysyłki. To jest prawda oczywista. Ale nie zapominajmy, że „trudno liczyć na łatwinę w życiu, a w dziedzinie twórczości i jej odbioru szczególnie” (z przemówienia Jerzego Putramenta na Zjeździe Literatów w Bydgoszczy).

Zarzucając dzisiejszej poezji brak formy i stylu, nieuznawanie interpunkcji, niezrozumiałość itp. Zwolenników powyższych zarzutów, odsyłam do egzemplarzy m. in. czasopisma społeczno-kulturalnego „Kamień” z 1934 r. Bez trudu można i tam spotkać wiersze, aż nadto podobne do drukowanych dzisiaj: również w „Widnokregu”.

Nie ma jednak rzeczy doskonałych, a w sztuce osiągnięcia ostateczne. A więc i w wierszach warsztatowe uchybienia można znaleźć. Sprawy formy i stylu są zawsze funkcją indywidualności poety, z którym obcuje poprzez jego dzieło, są wyrazem i miarą jego kalibru jako człowieka, jego wrażliwości i umysłu.

Czytelnicy nie zawsze umieją połączyć analizę formy z jej funkcją artystyczną i ideową. Są oni skłonni do widzenia wyłącznie zewnętrznych rusztowań poezji. Takie traktowanie poezji nie uwzględniające jej wizji świata, jej treści, jej charakteru emocjonalnego — jest mało owocne. Gdyby tylko z punktu widzenia weryfikacji formalnej (i wynalazczości) spojrzeć na „Treny” Kochanowskiego, nie widzielibyśmy przełomowego charakteru tego cyklu poetyckiego, jego istotnego nowatorstwa myślowego, nowego świata, nowego widzenia i odczuwania. Odnosi się to do wielu innych przełomowych i nowatorskich utworów poezji polskiej. Np. „Sonety krymskie” czy liryki Norwida. Nie nowe konstrukcje formalne bowiem decydują o nowości i przełomowości tych utworów, ale treść wewnętrzna i język.

Jest faktem, że tomy poezji na ogół długo czekają w księgarniach na kupujących. Chyba najwięcej zawiąła tutaj szkoła, która u nas, jak w wielu krajach europejskich, nie przygotowuje do rozumienia współczesnej sztuki. Jednak nie tylko, istotne przyczyny owego stanu rzeczy tkwią gdzie indziej. Literatura nie odgrywa już dzisiaj roli, jaką jeszcze spełniała w ubiegłym wieku: jej funkcje wychowawcze przejęły w dużej mierze prasa i radio, film, telewizja. W dodatku rozpoczęły na wielką skalę przed półwieczem eksperyment w sztuce coraz bardziej utrudnia niewykształconemu czytelnikowi bezpośredni kontakt z literaturą.

Czytanie i rozumienie współczesnej poezji wymaga przecież nie tylko wrażliwości i rozwiniętej uczuciowości, ale i umiejętności, orientacji w aktualnych poglądach filozoficznych, artystycznych i tajemnicach poetyckiego rzemiosła.

Nie oznacza to jednak, że nowoczesna poezja jest zupełnie niedostępna szerszemu ogółowi. Trochę trudu, wysiłku, umysłowego, a można i ją rozumieć. I daję więcej zadowolenia niż tradycyjna, do której wszyscy nawykli.

RED.

O opowiadaniu „FURTKA”

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE! W ostatnim numerze „Widnokregu” z dnia 6 II 1969 r. przeczytałam opowiadanie Henryka Kawiorskiego pt. „Furtka”. W trakcie lektury nasunęły mi się pewne refleksje, z którymi chciałbym się z Panem oraz Czytelnikami podzielić. Stąd uprzejma prośba o zamieszczenie tego listu.

W opowiadaniu tym mamy opis konfliktu między dyrektorem technikum rolniczego a wiejskim osiłkiem, niezadowolonym z faktu zamknięcia ogrodu szkolnego przed osobami z zewnątrz, w wyniku którego dyrektor zostaje przez tego osiłka zmasakrowany.

Cóż, nie takie rzeczy się czytało i nie warto byłoby się nad tym rozwodzić, gdyby nie interesujący skądinąd sposób przedstawienia tego konfliktu przez autora. Otóż dyrektor ten to typowy „szwarczak”, „...wredny i mściwy”, zresztą nie bardzo wiadomo dlaczego, gdyż brak tutaj jakiegokolwiek motywacji psychologicznej. Przypuszczam — jest: „ma niedobrą zębę o oczach zmil”, i stąd taki zły. Poza tym musimy wierzyć autorowi wyłącznie na słowo, gdyż dyrektor ów robi tylko to, co do niego należy i za co bierze państwowe pieniądze, w absolutnej zgodzie z przepisami i swoimi uprawnieniami. Ma się wrażenie, że słowo przypisane ma właściwie charakter metafizyczny i wpływa z jego funkcji dyrektorskiej. Można przy-

puszczać, że byłby całkiem przyzwolnym człowiekiem, gdyby nie to nieszczerze dyrektorstwo.

Jego przeciwnik to typowy wiejski zabijaka, który — jak czytamy — kiedyś, za wyrzucenie z wesela, na które wdarł się nie proszony „...uderzył koleś z plotu, i przetrącił obcemu gire”. Teraz z kolei wdziera się na teren szkoły, uprzednio rozbijając furtkę — i przy zaimprovizowanej muzyce, zaczyna tańczyć z narzeczoną, uczennicą tegoż technikum. W odpowiedzi na polecenie dyrektora, aby opuścić teren szkoły — wyrzuca go kopniakiem na korytarz; w rezultacie narzeczona naszego bohatera zostaje usunięta ze szkoły. Kilka dni później zdybał dyrektora na drodze — i tutaj warto przytoczyć parę cytatów: „Powiedz, urzędniku, co zawiąła ci ta dziewczyna. Może to, że była ze wsi? Ludzi ze wsi nienawidzisz, milicję na nich sprowadzasz. Kocham tę dziewczynę, którą ty zwleważył, urzędniku brudny... Głos rwał się Klimkowi w piersiach. Jak śmiałeś podnieść swoją pulchną grabę na dziewczynę, która jest tysiąc razy więcej warta od ciebie, urzędniku drobnym!”

W ileż to subtelności psychologicznych wyposażał autor tego bandziora! Ten głos, który mu się rwie, gdy mówi o swojej dziewczynie... Wzruszenie człowieka ogarnia, ile tu równocześnie pogardy dla spełniającego swój obowiązek urzędnika państwowego i urzędu, który represen-

tuje... Ale idmy dalej: „...zawiał się i kul go w zęby raz kolo razu, aż tamtemu zwiśla głowa, obłana posoka”.

Serce rośnie, gdy się to czyta. Ta „posoka”!... Dyrektorska posoka! Autor stanowczo nie rozpieszca naszego dyrektora. Inny na jego miejscu mógłby się ostatecznie zalać krwią — takim wystarczy „posoka”!

Zdaje sobie sprawę, Panie Redaktorze, że opowiadanie literackie to nie opowiadka umoralniająca, ale ta pełnia odautorskiej sympatii i aprobaty, jaką cieszę się nasz bohater, jest dla mnie absolutnie nie do pojęcia!

Sposoby dochodzenia swoich racji za pomocą „kucia w mordę” mają u nas, zwłaszcza na wsi, bogate tradycje — wątpliwe jednak, czy warto do nich nawiązywać. A już kreowanie naszego osiłka na bohatera pozytywnego — to chyba lekka przesada!

MARIAN KONOPACKI nauczyciel Państw. Lic. Sztuk Plast. w Sędziszowie

Ponieważ oprócz publikowanego wyżej fragmentu listu otrzymaliśmy jeszcze 2 korespondencje, których autorzy odnieśli podobne wrażenia po przeczytaniu opowiadania Henryka Kawiorskiego „Furtka”, uważaliśmy za wskazane przytoczyć powyższą wypowiedź.

INCOGNITO ALE CZY NA PEWNO...?

Dotychczas zajmowałem pozycję statysty, zafascynowała mnie jednak „Czytelniczka z Przemysła” — Widnokrag z dnia 9 lutego 1969 r. nr 6 (384).

To bardzo ładnie, a nawet tak być powinno, że drożsi są bliźsi niż „bachniczne akordy jerychońskie”, i wszystko byłoby — cacy — gdyby nie... incognito i spizowe, kokosze skrzydła nad autorem wspomnianej Kolumny. Stwierdza Pani (czy całkowicie z własnego przekonania), że: „...osobiste wycieczki pod adresem P. Piekły są niesmaczne”. Dużo tu do mówienia. O ile dokładnie śledziła Pani wypowiedzi poszczególnych autorów, chyba dostrzegła Pani wiele racji. Ale nie o obronę tu idzie. Szalenie niestrawne było Pani... Incognito. Czyżby wrodzona skromność? Nie sądzę. A może brak cywilnej odwagi do podania siebie? Też nie. Podejrzewam tu nieczyste spekulacje i to całkiem uzasadnione. Przekonany jestem, że gdy Ktoś jest pewny i jest po stronie, za którą się ujmuje, to powinien podać nazwisko. Droga Niewiadoma z pięćdziesięciu iluś tysięcy. Pani nie jest brzydko w kapeluszu, tylko widzi Pani, należy zawsze wybierać właściwy rozmiar, a nie o kilka numerów większy. I dobrze się stało, że właśnie poprzez wypowiedzi poszczególnych autorów udowodniono P. Piekły, jak niewiele ma jeszcze do powiedzenia.

A Pani stara się we mnie wkręcić: „Trzeba mieć litość nad czytelnikami... (kon. cyt.)
Przepraszam, że osmielałem się postawić pytanie — którymi? Czyżby całe nasze województwo utokaśniała Pani z podpisem: Czytelniczka z Przemysła?

Twierdzi Pani, że: „Wszystkie artykuły oprócz małych złośliwości, nie różnią się treścią”. Szkoda. Wielka szkoda. A swoją drogą wolę już te „złośliwości” niż inwokacje autora „Noworocznej Kolumny” w rodzaju: „Jako jeden z potencjalnych...” Widnokrag nr 2 (380) z dnia 12 I 1969 r. (a może jednak kolumnę z POPIERSIEM na środku Rynku?).

Oczytałem się mnóstwa relacji ze spotkań autorskich z P. Różewiczem, P. Bryllem, P. Grochowiakiem... itd. i żaden z nich nie uległ sugestiom, które trafnie sprecyzował Wiesław Kulikowski: „...samozwńczy starszy szeregowy...”

To nie są złośliwości, Droga Niewiadoma. Poszczególni autorzy swoje zdanie na temat autora „Noworocznej Kolumny” wypowiadali bardzo delikatnie.

To tylko Pani dolegają skojarzenia. Szkoda, że jednostronne... a może i... jednostronnie wspólnymi siłami.

FRANCISZEK CEGLAK

Sieniawa

Spór o konwencje

Spodziewaliśmy się, iż artykuł Tadeusza Piekły „Noworoczna Kolumna KKMP” opublikowany w „Widnokregu” w dniu 12 I br. (nr 2/380) wywoła polemiczne uwagi naszych czytelników, lecz nie sądziliśmy, iż rozpęta się aż tak gwałtowna dyskusja. Z pewnym zażenowaniem otwieraliśmy wcióż napływające korespondencje z temperamentem zajmujące jakieś stanowisko wobec artykułu zasadniczego, lub w stosunku do któregoś z późniejszych polemistów. Z zażenowaniem, gdyż wydaje nam się, iż na ogół spokojny artykuł Tadeusza Piekły nie powinien obudzić aż takich namietności i że dość przeciętna kolumna wierszy nie powinna wywołać aż tak szerokiego echa. Widocznie jednak sprawy współczesnej poezji żywo angażują

dość szeroki krąg ludzi. Nie mogliśmy, niestety, opublikować wszystkich nadesłanych nam wypowiedzi, zabrakło nam po prostu miejsca, ale mimo to ukazało się w „Widnokregu” 8 listów czytelników i miłośników poezji oraz 6 listów poetów. Drukowaliśmy je na zasadach wolnej trybuny nie zawsze solidaryzując się z poglądami ich autorów. Tym bardziej, iż czasem polemistów ponosiło zaciętrzewienie i pasja dyskusyjna przerysowywała nieco karykaturalnie ich sądy.

Zasadniczo głosy czytelników grupowały się wokół dwóch przeciwnych opinii: negującej całkowicie walory poznawcze i artystyczne współczesnej poezji i drugiej, aprobującej w pełni konwencje artystyczną nowoczesnych wierszy. Przy okazji jednak kilkakrotnie zaatakowano Tadeusza Piekły jako autora artykułu oceniającego wiersze poetów z KKMP i tychże poetów za poziom ich wierszy w noworocznej kolumnie. Padły także krytyczne uwagi pod adresem redakcji „Widnokregu” za niezbyt surową selekcję wierszy przeznaczonych do publikacji. Trzeba również stwierdzić, iż kilku naszych korespondentów wykażalo dużo wiedzy teoretycznej, kultury literackiej, a nawet umiejętności analitycznych w zakresie poezji, parę osób natomiast ujawniło tylko swą gorzyc i żal, iż świat poezji jest im całkowicie niedostępny składając winę za ten stan rzeczy na barki współczesnych poetów.

Jak już stwierdziliśmy w przypisie redakcyjnym do artykułu Tadeusza Piekły publikujemy czasem utwory poetyckie o poziomie przeciętnym, może nie zawsze w pełni dojrzałe formalnie i intelektualnie, ale zawierające jakąś ciekawą zapowiedź, obraz, czy wreszcie — dla konfrontacji początkujących autorów z opinią czytelnicy. Sądzimy, że taka konfrontacja jest konieczna zarówno dla rozwoju artystycznego poety, jak i rozwijania się i umacniania rzeszowskiego środowiska literackiego. Uważamy, że każdy poeta, krytyk czy czytelnik ma prawo do rzeczowej i życzliwej oceny wierszy, które czyta na naszych łamach. Dlatego udzieliliśmy głosu Tadeuszowi Piekły i byliśmy zaskoczeni głosami jego

kolegów poetów protestujących przeciwko samej zasadzie takiej oceny i odmawiających autorowi prawa do krytykowania publicznie utworów kolegów z Klubu, którego i on jest członkiem. Każdy twórca publikujący swą pracę musi być przygotowany na różnorodne oceny tej pracy i chyba winien być szczególnie usatysfakcjonowany jeśli ta ocena odbywa się na forum publicznym. Równocześnie jednak nie możemy się również solidaryzować z wypowiedziami w czambuł potępiającymi twórczość młodych poetów rzeszowskich. Ich wiersze nie odbiegają od przeciętnego poziomu ogólnokrajowego poezji współczesnej. Jeśli jedna z naszych korespondentek pisze: „Poezja współczesna podobna jest do szklanej kuli nie dającej się nawet zarysować paznokciem; Poezja ta jest chora; jest to niezrozumiały bełkot bez sensu, jest hermetyczna i zagadkowa...” to albo prawdopodobnie nigdy nie starała się bez uprzedzeń zrozumieć współczesnego wiersza, lub też jej smak artystyczny i zakres wrażliwości estetycznej nie wykracza poza konwencje poezji XIX-wiecznej. Nie odbiera języka i środków wyrazu sztuki współczesnej (prawdopodobnie nie tylko poezji), gdyż brak jej dobrej woli, przygotowania i niezbędnej dla tego celu wiedzy o całej współczesności. Jest bowiem faktem wielokrotnie stwierdzonym w dziejach sztuki, iż bardzo wielu jej odbiorców nie nadają za rozwojem nowych konwencji i nowych źródeł inspiracji twórczych. Nie twierdzimy, iż nie ukazują się czasem na łamach pism i tomikach wiersze bełkotliwe i nieporadne — ale takie zdarzały się zawsze.

Polemika w „Widnokregu” zaczęła się powoli przekształcać w spór o konwencje poetyckie ze skłonnością do generalizacji. Albo wyłącznie wiersz o współczesnej formie — reszta to starzyzna i grafomanstwo epigońskie, albo cała współczesna twórczość poetycka to bełkot — liryka zamieszkuje tylko w regularnych, rymowanych strofach. Gdzieś tu po drodze ginie twórczy trud czytelnika w ogarnięciu myśli i wzruszeń każdego oryginalnego i nawet trudnego poety, gdzieś ginie osobisty, intymny stosunek emocjonalny między odbiorcą a wierszem (niezależny od konwencji w jakiej wiersz został napisany) pojawia się natomiast szkodliwe lekceważenie poety okazywane często przez „nowoczesnych” poetów czytelnikom tradycjonalistom i nieufność tychże czytelników do twórców współczesnych.

Nie sądzimy, by ta dyskusja mogła się zasadniczo przyczynić do zniwelowania uprzedzeń i wzajemnych niechęci. Ale była pożyteczna, gdyż rozpoczęła dialog między obydwoma stronami, zwróciła uwagę poetów na ogrom odpowiedzialności ciążącej na każdym słowie ich wiersza i może jednak w jakimś stopniu ukazała, jak bardzo skomplikowane są problemy twórczości i recepcji poezji w naszych czasach oraz jak potrzebna jest tu dobra wola twórców i odbiorców. Będziemy w miarę naszych możliwości doprowadzać częściej do takich konfrontacji.

REDAKCJA WIDNOKRĘGU

„Mały Książę”

„Cisza, przyjacielu rozdziela bardziej niż przestrzeń”

Tych kilka słów to gorąca reakcja na listy p. Krystyny Świerczewskiej (zawsze z jednakową radością czytujemy), a w szczególności ten dzisiejszy.

Gdy pojawił się pierwszy, miałam jakieś skojarzenia (tytułowe) z „Opowieścią dla przyjaciela” H. Powiatowskiej — jakże trudno pogodzić się z Jej odejściem.

Ze szczególną sympatią ustosunkowałam się do tekstu w „Widnokregu”.

Szczególną radość sprawił mi „Mały Książę”. Jakże ogromnie się cieszę, że jest blisko Ktoś duży, kto chce jeszcze rozumieć Małego.

„...najukochańsza i najpiękniejsza książka świata”. Oby miała trwała się zarażenia — patrzenia sercem „oswojenia”.

To już chyba „prawidłowość” tej książeczki, że łączy się we wspomnieniach z wielką Przyjaciółką. I za to drogę przypomnienie również dziękuję.

Tak okrutny bywa świat dorosłych, planety, na której zapomina się o uśmiechu dziecka, jego raj — wyobraźni.

To wstrząsające polowanie, o którym pisze P. Świerczewska, „dziwne zabawy”. Straszne!

Pozdrawiam serdecznie tą drogą autorkę od nas, czytelników „Widnokregu” za tyle publikacji. Gorąco życzyć zawsze tak bogatego pióra i wprowadzającej w podziw żywotności.

Z wyrazami szacunku, ukłonów, pozdrowieniem z Mielca
R. Zarkowska



Renata NIEMIRSKA - PISAREK — „Portret” — olej.



Wojciech Natanson: STANISŁAW WYSPIAŃSKI. Próba nowego spojrzenia. Wyd. Poznańskie, s. 264, cena zł 30. Wyd. II.

Z setna rocznicą urodzin znakomitego poety, dramaturga i malarza zbiega się wznowienie szkiców dotyczących życia i twórczości Wyspiańskiego. Liczne ilustracje dopełniają całości.

Julian Sokół: BUNDESWEHRA. System urabiania ideologicznego. MON, s. 220, cena zł 12.

Gen. dyw. Józef Urbanowicz pisze w słowie wstępnym: „Dobrze się stało, że na polskim rynku czytelnicy ukazują się prace mająca ambicje możliwie całokształtowego i wielostronnego przedstawienia systemu, treści, kierunków, form i metod indoktrynacji ideologicznej w Bundeswehrze”. Wychowują oczywiście na tradycjach Niemiec kajzerowskich i faszystowskich, w duchu znanym nam z armii Hitlera.

Bogusław Drewniak: KULTURA W CIENIU SWASTYKI. Wyd. Poznańskie, s. 316, cena zł 35.

Specjalistyczna wprawdzie praca, wydaje się niemniej interesująca, pokazuje bowiem „rozwoj” kultury w Niemczech Hitlera. A więc o kinematografię, plastykę, muzykę, radiu itp. Głównie jednak o polityce repertuarowej i „wolnościach” twórczych. Kultura była bowiem instrumentem polityki i Ideologii.

Mark Schorer: SINCLAIR LEWIS. Życie Amerykanina. Przeł. T. Święcka. PIW, s. 780, cena zł 70.

W serii „Ludzie żywi”, monografia niedawno zmarłego pisarza amerykańskiego. Praca ciekawa, jak ciekawe było życie tego postępowego pisarza amerykańskiego.

Jerzy Opolski: SŁAZACY. KIW, s. 280, cena zł 20.

Nie jest to monografia, lecz epizody z życia Ślązaków. Byli oni wg niemieckiej nomenklatury „minderwärtig”, mniej wartościowi.

James Baldwin: INNY KRAJ. Przeł. T. Denhel. PIW, s. 468, cena zł 30.

Czołowy pisarz murzyński Ameryki Północnej. Akcja tej powieści toczy się w środowisku nowojorskiej bohemy artystycznej. Ludzi różnych ras i piel. Problemy i powikłania miłosne. Oskarżenie pełnego erotyzmu środowiska.

Joyce Cary: MÓJ ULUBIENIEC CHARLEY. PIW, s. 392, cena zł 25. Przeł. Z. Kierszyński.

Zmarły już pisarz angielski porusza w swej powieści trudny problem przestępczości nieletnich. Piętnastoletni chłopiec ewakuowany w czasie wojny z Londynu zostaje szefem młodzieżowego gangu. Interesująca i z wydziwkiem.

Wilhelm Adam: TRUDNA DECYZJA. Przeł. H. Lebedecka. MON, s. 448, cena zł 27.

Autor był w czasie wojny pułkownikiem Wehrmachtu. Walczył w armii Paulusa pod Stalingradem. W swych wspomnieniach koncentruje uwagę, obok opisów walk, na sprawach psychologicznych. Żołnierze niemieccy konfrontują słowa i czyny. Wielu z nich przeszło drogę podobną do Autora. Praca w komitecie „Wolne Niemcy”, a następnie działalność w NRD.

Andrzej Twerdochlib: Z BRAKU DOWODÓW. Iskry, s. 194, cena zł 10.

Kolejna książka laureata nagrody Stowarzyszenia Księgarzy Polskich z 1965 roku. Jak zwykle doskonała znajomość realiów opisywanego środowiska. Młody inżynier wraca z Indonezji do kraju. Współczesne. Obyczajowe.

Teresa Gabrysiiewicz: Z PIEŚNI WEJMUTY. Wyd. Łódzkie, s. 144, cena zł 10.

Debiut powieściowy poetki znanej z dwóch tomików wierszy.

WZNOWIENIA

Marian Janic: IDA PARTYZANCI. MON, s. 300, cena zł 19.
Piąte wydanie wspomnień o walkach AL w Kieleckim.

Marian Reniak: NIEBEZPIECZNE SCIEŻKI. MON, s. 240, cena zł 15.
Drugie wydanie pamiętników oficera Służby Bezpieczeństwa, M. in. walki z bandą „Ognia”. Krakowskie.

Adam Kaska: DESANT. MON, s. 340, cena zł 25.

Drugie wydanie powieści, której akcja rozgrywa się w ciągu ośmiu wrześniowych dni 1944 roku. Polscy żołnierze pomagają powstańcom.

Karol Bunsch: IMIENNIK. Wyd. Literackie. T. I/II, cena zł 50.

Piąte wydanie w dwóch tomach zawiera kolejne tomy: „Śladem przadziada” oraz „Mlecz i pastorał”. A więc czasy Bolesława Śmiałego.

Walentyn Katajew: SAMOTNY BIAŁY ŻAGIEL. Iskry, s. 244, cena zł 9.

Szóstę wydanie powieści dla młodzieży, pióra radzieckiego pisarza. Rok 1905.

NOWOŚCI POEZJI

Andrzej Guzek: WYPOWIEDZ. Wyd. Morskie, s. 68, cena zł 10.
Ur. 1939. Absolwent SN w Gdańsku. Debiut.

Edmund Puzdrowski: RZECZ KASZUBSKA. Wyd. Morskie, s. 76, cena zł 10.

Ur. 1942. Trzeci tom wierszy.

Janusz Żernicki: LANDSZAFT Z WEDRUJĄCYM DNEM. Wyd. Morskie, s. 64, cena zł 10.
Ur. 1939. Drugi tomik poetycki.

Lech Kujawski: WIELKIE KOŁYSANIE. Wyd. Morskie, s. 64, cena zł 10.
Ur. 1939. Debiut.

André Frenaud: NIE MA RAJU. PIW, s. 56, cena zł 10.
Poeta francuski starszego pokolenia.

Kartki dla cwy

SERY

Znane są szwajcarskie i holenderskie, ale smakosze twierdzą, że ojczyzną ch jest Francja, skoro wytwarza się tam blisko 600 gatunków rocznie. Historycy sięgają do Imperium Rzymskiego a legenda jeszcze dawniej, Ser wynalazł podobno grecki pasterz Aristajos, potomek boga Apollina i nimfy Kyrene. Jakkolwiek by było, produkt otrzymywany przez kwaśnienie mleka, lub też działanie enzymu na białko i tłuszcz w nim zawarte stał się epokowym wynalazkiem.

Przeciętny konsument na temat sera niewiele może powiedzieć. Rozróżnia zaledwie trzy gatunki: biały, żółty i topiony. Ten ostatni podobnie jak bryndza często jest synonimem pustki w spiżarni.

Obsługa sklepów mleczarskich również nie grzeszy znajomością przedmiotu. Informuje najwyżej, że serek jest, albo go nie ma. Tymczasem Polska produkuje około 30 gatunków, wcale nie ustępujących w smaku zagranicznym.

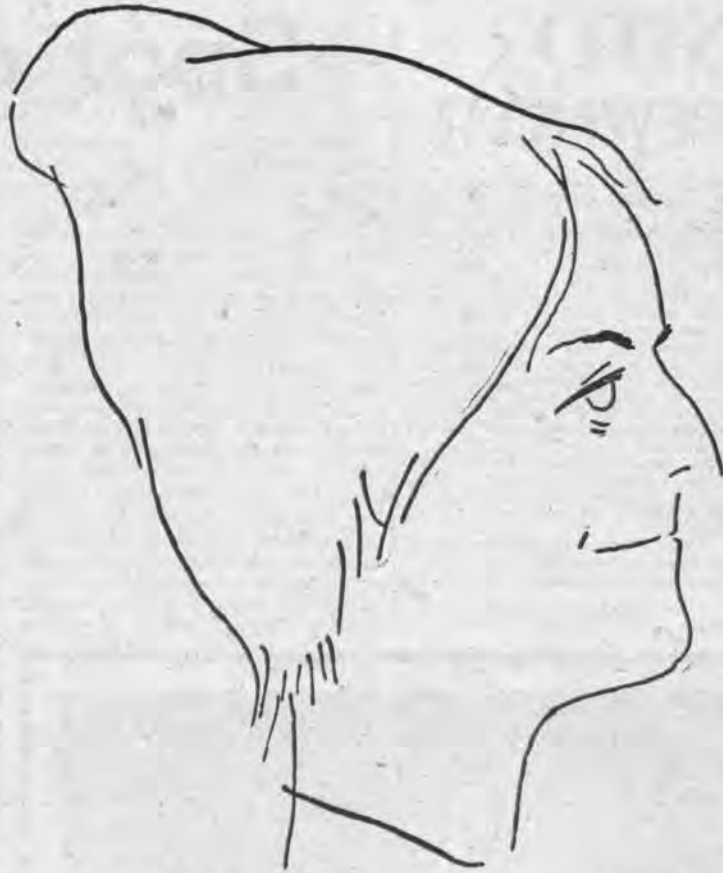
Pod względem receptury sery dzielą się na twarde, miękkie i twarogowe. Technolodzy uwzględniają ponadto ilość wody i tłuszczu w stałej masie, które warunkuje system produkcyjny. Proces ten jest skomplikowany i wymaga czasu. Niekiedy trzeba długich badań laboratoryjnych, by uzyskać właściwą konsystencję i aromat. Tak działa się np. z serem Limburskim, który niedawno wszedł na rynek.

Mleko krowie, owcze lub kozie grzeje się w specjalnych kotłach, ubija w drewnianych formach i poddaje fermentacji w wilgotnych piwnicach. Trwa to od paru tygodni do kilku miesięcy. Ser ementalski, grojer, parmezan leżakują około pół roku, trapistów dwa miesiące, rokpol i kamember jeszcze krócej.

Serów nie należy kupować na zapas. Twarde jak gouda, myśliwski, edamski, trapistów, tyłzycki szybko wysychają. Gotowane i pleśniowe nie znoszą przechowywania w lodówce. Pod wpływem zimna tracą smak i zapach.

Sery pełnotłuste, pikantne choć znakomite w smaku są zwykle ciężkostrawne. Muszą na nie uważać cierpiący na wątrobę i schorzenia przewodu pokarmowego. Bezkarne wolno się tylko objadać twarogiem. Dietetycy dawno już uznali jego niesłychane zalety. Biały serek jest źródłem taniego, ale wysokowartościowego białka, wapnia, witamin i soli mineralnych. Z powodzeniem można nim zastąpić dzienną porcję mięsa i mleka. Porcja twarogu jest przez organizm łatwiej przyswajana niż szklanka mleka. Twaróg jada się na słodko, słono i kwaśno, gdyż znakomicie łączy się z całym szeregiem kasz i makaronów. Może także służyć jako samodzielne danie obiadowe lub deser. Lekarze zalecają go chorym na miazdycę, rekonwalescentom i wyczerpanym nerwowo. Każą karmić nim niemowlęta i stosować w kuracjach odchudzających. Kosmetyczki polecają go wręcz jako znakomite tworzywo na maseczki upiększające.

Mimo tych niewątpliwych zalet, twaróg i inne sery nie budzą naszego entuzjazmu. Jedne dziwnie pachną, inne mają podejrzany wygląd. Żywnym się golonka, bigosem i schaboszczakami o metrowej średnicy. Fabrykujemy cholesterol i nadkwasotę, a ser święci triumfy w kuchniach całego świata. Bywa zakończeniem finezyjnych uczt i nieskomplikowanym posiłkiem. Wartość kaloryczna serów jest bardzo duża i sięga 4500 K w jednym kilogramie. BEGA



BARBARA DĄBROWSKA — bibliotekarz przy ZDK Huty Szkła w Krośnie. Rys. J. SIENKIEWICZ

WIDNOKRAG
ODPOWIADA

„Wszebor” Nowa Dęba: Pańskie wiersze są interesujące i oryginalne. Cechuje je dojrzałość myślowa, duże zaangażowanie społeczne i celowość środków wyrazu artystycznego. Może jeszcze warto by troszczyć się o większą zwięzłość wypowiedzi, o bardziej syntetyczny wyraz. Również proza z „Małych traktatów” jest świeża i obrazowa. Prosimy o trochę

bliższe informacje o autorze, o jego dotychczasowych próbach poetyckich i zainteresowaniach. Wiersze zachowujemy w tece i prawdopodobnie będziemy coś z tego zestawu drukować. Ale trzeba trochę zaczekać.

TBC — Lublin: Został Pan dobrze zrozumiany — nie jest Pan pierwszy, który ma nam coś za zle w odpowiedziach. Mamy jednak tę przewagę nad Panem, iż my czytamy wszystkie listy, które napływają do nas z próbkami twórczości i znamy ich wartość, a Pan nie. Zostaniemy więc każdy przy swoim — Pan przy swojej urazie (podejrzujemy że osobistej) my przy swojej metodzie ocen.

ZDARZENIA
TYGODNIA

W ubiegłą niedzielę, tj. 23 lutego, w sali WDK odbyła się premiera sztuki Gyuli Urbana pt. „Pietrek Niebieski”, przygotowanej przez Państwowy Teatr Lalki i Aktora „Kacperek” w Rzeszowie, w reżyserii St. Stojakowskiego, muzyka Zb. Jeżewski, scenografia J. Szymańskiego.

Najmłodszy widzowie obejrżeli w teatrze historię pieśki, Pietra Niebieskiego który z powodu że był inny od swoich braci musiał opuścić matkę i uciekać w daleki świat, cierpieć głód i upokorzenie. Wszwstko kończy się jednak szczęśliwie, gdyż znalazł prawdziwego przyjaciela, marynarza Rudego Jęffa, z którym dopłynął do Wyspy Niebieskich Psów...

Ta pouczająca historyjka cieszyła się dużym zainteresowaniem widzów, o czym świadczą reakcje. „Kacperek” zaprasza więc wszystkie dzieci na kolejne spektakle, które będą się odbywać, podobnie jak poprzedni, w sali WDK.

W Wojewódzkim Domu Kultury w Rzeszowie czynna jest wystawa prac plastyka amatora Alfreda Długosza którą otwarto w ubiegłą niedzielę. Prezentuje on w Rzeszowie bogaty zestaw prac malarskich i rzeźb ze stalaktytów.

W uroczystości otwarcia ekspozycji uczestniczyli członkowie Wojewódzkiego Klubu Plastyka Amatora i liczni zaproszeni goście. Ponad 90-letni amator z Gorlic opowiedział zebranym o swojej drodze do twórczości, która uprawia od ok. 20 lat oraz o pracy. Trzeba tu stwierdzić, że przynosiła mu ona duży rozgłos nie tylko w rodzinnych Gorlicach, ale również poza granicami województwa. Przyczynił się do tego niewątpliwie oryginalność stylu i duża inwencja w dziedzinie kompozycji.

W sali WOSTiW „Bieszczady” w Rzeszowie odbyło się pod przewodnictwem sekretarza Prezydium WRN Mieczysława Marszałka posiedzenie wojewódzkiego zespołu do spraw koordynacji przygotowań i przebiegu sezonu turystycznego.

Podczas obrad omówiono wytyczne do pracy w sezonie turystycznym bieżącego roku oraz zatwierdzono plan pracy, który ma zapewnić pełną realizację zadań na bieżący sezon. Będzie on przebiegał pod hasłem „Rzeszowszczyzna zaprasza”.

W Rzeszowskim Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki zainaugurowany został cykl odczytów na tematy związane z II wojną światową.

W dniu 26 lutego odbył się pierwszy wykład, zatytułowany „Tragiczny wrzesień”. W dalszych będzie omówiona problematyka polskiego podziemia, rola i znaczenie rządu londyńskiego oraz sprawa polska na arenie międzynarodowej.

Prelegentem jest specjalista od tych zagadnień, pracownik Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk, dr Eugeniusz Duraczyński.

W ubiegły czwartek w Stalowej Woli odbyła się premiera „Karpackich górali” J. Korzeniowskiego w wykonaniu amatorskiego zespołu teatralnego ZDK Huty „Stalowa Wola”. Reżyseria Józefa Zudy, scenografia Tadeusza Grabarv.

Organizowane w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki w Rzeszowie koncerty muzyczne zdobyły już sobie chyba na stałe prawo obywatelstwa w tej placówce i będą jeszcze jedną formą popularyzacji muzyki.

Trzeci już z kolei „Popołudnie z kwartetem” cieszyło się dużym powodzeniem i zainteresowaniem słuchaczy. Był to występ kwartetu smyczkowego Państwowej Filharmonii im. A. Malawskiego. Słowo wiążące wygłosiła mgr Izabela Pajdak.

Na naszym ekranie

„Ciężkie czasy dla gangsterów”

Gdyby nieboszczyk Al Capone mógł zobaczyć ten film, trudno byłoby mu opanować nerwy i tak bliźni na pilczku. To mają być gangsterzy? To mają być groźni policjanci? Co z tej hulaśliwej strzelaniny? Niby są trupy, ale na wesoło. To mają być ciężkie czasy?

Twórca „Ciężkich czasów dla gangsterów” (prod. francuskiej), reż. Guy Lefranc miałby na takie zarzuty gotową odpowiedź: nie on pierwszy wymyślił komedię kryminalną, a jej główny bohater — komisarz San Antonio wypożyczony został z kart powieści kryminalnych poczynionej we Francji Frederika Darda.

To prawda. Lefranc dał się ponieść panującej w kinematografii zachodnich modzie na filmową zabawę w złodziei i policjantów. Przestrzega też z respektem zasad tej zabawy, więc akcja filmu toczy się na ogół według ustalonej receptury. Z reguły chodzi o to, by wykpić i ośmieszyć obie strony: zarówno przedstawicieli prawa, jak i ich przeciwników — w tym wyodku gangsterów.

Wskazane jest np. pokazanie „groźnego” policjanta najlepiej z brzuskiem, w kolorowych gatkach w paski, pakującego się nieustannie w komediowe tarapaty. Można go zamknąć w areszcie macierzystego posterunku, można go przykuć własnymi kaidankami do kaloryfera itp.

Z gangsterami w komediach zbudowanych na sensacyjno-kryminalnych wątkach jest już większy kłopot. Można wprawdzie pokazywać gangsterów-emerytów w roli czułych nianek swych wnucząt lub robić z nich bigotów czuwających nad moralnością wychowywanych przez nich dorastających sierot-siostrzeńców. Wolno zastawiać na nich komediowe pułapki, ale mimo wszystko muszą być mniej lub bardziej groźnymi przestępcami. Rzecz w tym, by w ostatecznym rachunku sympatia widza była zawsze po

stronie przedstawicieli prawa, choćby to prawo zjeżdżało mając bezradnie nogami po rozpiętym sznurze z kaloryferem pod pachą.

Kogoś tu jeszcze brak w takim filmowym rewolwerowo-męskim towarzystwie. Kogoś na kim można by z przyjemnością wesprzeć oko. Twórca „Ciężkich czasów” pamiętał i wprowadził do akcji, raz po stronie gangsterów, a raz policjantów, kuszaco powabną Patricie Viterbo, sekretarke szefa gangu — Felixa. Postarał się również o prawdziwą niespodziankę, obsadzając w udanej roli jedynego prawdziwego groźnego gangstera — znanego francuskiego piosenkarza Philippe Claya. Zawrotne tempo filmu nie da mu jednak okazji popisanania się zdolnościami wokalisty.

Można różnie interpretować tytuł filmu, którego akcja toczy się we współczesnej Francji. Ciężkie czasy? To zacytuj! Nie tak dawno widzieliśmy w telewizji serię filmów amerykańskich badających ponurą, lecz prawdziwą kroniką gangsterstwa w okresie prohibicji lat trzydziestych. Do dziś pamiętamy brutalnego Al Capone i jego groźnego, nieprzekupnego przeciwnika detektywa Nessa. Czy tamte czasy były dla poprzedników współczesnych gangów łatwiejsze? Jedno jest pewne. Były mniej skomplikowane w działaniu: przeważnie szantaż, po party śmiertelna kula.

Dziś, szanujące się gangi, rzadko zajmują się strzelaniną. Dziś, jak sugeruje tytuł filmu jest ciężiej. Stare gangsterskie metody nie wy-

trzymują konfrontacji z gwałtownymi przemianami nowoczesnego świata. Pieniądże z przestępstwa nie przychodzi łatwo, a kto chce je zdobyć, musi jak najwięcej myśleć i jak najmniej hulaśliwać. Nikt przecież nie strzela we włoskich, francuskich czy angielskich muzeach, a lupem zorganizowanych gangów padają bezcenne kolekcje obrazów. W przestępczym świecie liczą się mózgi i zuchwałe pomysły...

Właśnie na jeden z takich pomysłów wpadają negatywni bohaterowie „Ciężkich czasów dla gangsterów”. Na terenie Francji działa sprawnie kierowana nieuchwytna szajka. Porywa ona znakomitych uczonych, sprzedając ich (zamrożonych za pomocą zastrzyków), a ściślej ich naukowe - odkrywcze mózgi, przedstawicielowi jakiegoś wielkiego zachodniego mocarstwa, który po tak cenny „towar” przyjeżdża ze Szwajcarii.

Na trop bandy wpada główny bohater filmu, dzielny wysportowany i przystojny (to mu się przyda) komisarz San Antonio. W jego grupie operacyjnej działa inspektor Berrurier — największy żarłok w całej francuskiej policji. To właśnie on ma pokazywać brzuszek i kolorowe gatki. W rzadkich przerwach między zakaską a jedzeniem krewki inspektor miewa przebłyski inteligencji, kończące się nieodmiennie śmieszna i kompromitująca kleska.

„Ciężkie czasy dla gangsterów” reprezentują rodzinę filmów komercyjnych i nie pretendują do rangi dzieła, a reż. Lefranc nie proponuje nam jakichś wartościowych moralno-etycznych treści. Jego komedia mieści się gładko w rodzinie tuzinkowych zachodnioeuropejskich ekranowych meteorów, których lot trwa półtorej godziny i ginie szybko w pamięci widzów. Mimo iż film ten świetnie bawi, rozśmiesza, a nawet intryguje.

ADAM ZARZYCKI

